Następny numer „Świata“ poświęcony będzie z okazji 100 rocznicy

niepodległości

B E L G J I

stosunkom kulturalnym, politycznym i gospodarczym polsko-belgijskim.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXV

ŚWIAT

NR. 42

WARSZAWA, DNIA 18-go PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT“. Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

W dn. 25—26 października r. b. odbędzie się w Warszawie zjazd i obchód 25-lecia walki o szkołę polską na terenie Kongresówki. O przebiegu tych wydarzeń informuje naszych czytelników dyr. W. Ambroziewicz, bezpośredni ich uczestnik.

PIĘKNA LEGENDA

W grudniu roku ubiegłego powstał Komitet obchodu 25-lecia walki o szkołę polską. Wydano kilka odezw. Ukazało się parę poważnych publikacyj. Poczęto gromadzić materjały i tworzyć archiwum, zapowiadając jednocześnie opracowanie tych dokumentów przez specjalistów. W bardzo wielu środowiskach odbyły się okolicznościowe zjazdy uczestników strejku szkolnego z roku 1905-ego. Wysunięto wreszcie cele aktualne: gromadzenie funduszów na obronę przed wynarodowieniem dziatwy polskiej, poza granicami Państwa zamieszkałej.

Jesteśmy świadkami bardzo ciekawej akcji, jaka się odbywa przed naszemi oczami w dwu płaszczyznach: z jednej strony rzeczywistość każe wiązać z przeszłością dzień obecny, posiadający niekiedy paradoksalnie twardą mowę, z drugiej odbywa się głośne myślenie o dniu odległym, wydartym wspomnieniom. W tem głośnem myśleniu mas strejkujących o powodach i przebiegu strejku jest wiele szczerości i bezpośredniości uczuciowej, jest urok prymitywu zapomnianego artysty, gdzie entuzjazm miał wystarczyć za sztukę i umiejętności, a powstały świątek ma wyraz cudownej postaci, pamiętanej wizji i wyczutej formy.

Uważnie przysłuchuję się referatom ideowym i wspomnieniom z przed 25-cu laty, jakie są wygłaszane na zjazdach i zebraniach, z ciekawością przeglądam artykuły i publikacje, poświęcone tej sprawie, — uderza mnie jedno: niechętni i niewierzący w sprawę przed laty przez młodzież podjętą milczą, walczący o dawną odmienność swego stanowiska uzgadniają się z przeciwnikami. Wszyscy jednak zatarli w swych wspomnieniach ostrość akcji, nie odczuwają już tych odmiennych założeń, jakie ich zniewalały i prowadziły do wspólnej wkonsekwencji sprawy, do walki o duszę polską. Wszyscy tylko pamiętają, że pierwsi pragnęli tej walki i wszyscy niemal jako pierwsi ją rozpoczęli z najeźdźcą. Zatraciły się daty w pamięci ludzi, zagubiły się walki i spory, pozostało jedno wspomnienie wspólnego pragnienia i pamięć spełnionego obowiązku.

Dwadzieścia pięć lat wystarczy, aby zagubiła pamięć szczegóły, aby zasnuły się mgłą osoby i miejsca, aby odeszła w zapomnienie walka i rozdziały, aby zmartwychwstała w całej krasie legenda, aby piękno legendy czarem spełnionego czynu radowało duszę, aby dla minionego nakazywało szacunek.

Dwudziestopięciolecie strejku szkolnego! Wdzięczny temat dla rozważań i rozpamiętywań, z nich historyk wysnuje prawdę dziejową, uporządkuje fakty, naświetli dzień miniony w sposób właściwy i przekaże następnym pokoleniom prawdę jako obrachunek pokolenia, prawdę odda jako wieczne żarzewie głodnej duszy do nowych wysiłków. Jako zręby tej prawdy

posłuży fakt, że znieważona dusza dziecka wypowiedziała walkę mocarzom ukoronowanym i porzuciła mury nienawistnej szkoły.

Daty pomiędzy 28 stycznia a 9 lutego r. 1905 zostaną zapisane jako dni młodzieży i dzieci, deklarującej, że:

1. Szkoła zostanie polską, t. j. językiem wykładowym ma być język polski;

2. nauczycielami i wychowawcami w szkole mają być obywatele Polacy;

3. do szkoły winne być przyjmowane dzieci wszystkich obywateli kraju bez różnicy wyznania i pochodzenia;

4. język i historja polska ma być głównym przedmiotem nauczania;

5. ma być zniesiony system policyjny w szkole i wszelkie instytucje z nim związane;

6. ma być ustawowo zabezpieczona kontrola społeczeństwa nad szkołą i udział jego w rozstrzyganiu spraw wychowawczych.

Dwadzieścia pięć lat minęło od tej deklaracji dziecięcej! Co tu ująć, a co dodać, aby powstała nowoczesna szkoła polska w państwie niezależnem? Nic. Te zręby przeszłość położyła jako fundament teraźniejszości, a czyniła wobec niewierzących w niepodległość lub odkładających ją do dalszych, bliżej nieokreślonych czasów.

Dzień 19 lutego r. 1905 będzie dalszym zrębem pod budowę gmachu niezależności. W dniu tym padły ważkie słowa starszego społeczeństwa na wiecu w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

„Mówię bez motywów, bo są rzeczy, których nie trzeba motywować — deklarował Niemojewski. Są rzeczy, o które się nie prosi; są rzeczy, których się nie daje, tylko się bierze, bo one są wolą narodu. Naród polski chce polskiej szkoły, z polskimi profesorami, z polskim językiem wykładowym, z duszą polską, w rękach polskiego społeczeństwa, bo wola narodu suprema lex esto".

A wślad za tym moralnym nakazem padły na wiecu słowa wiary: „kto dzieckiem w kolebce urwał łeb hydrze, młodzieńcem zdusi centaury; dumni bądźmy z tej młodzieży, bo ona zdusi centaury, które nas gnębią" (z przemówienia Herynga).

Tych parę cytat wystarczy dla przypomnienia tła moralnego wielkiego wydarzenia, jakie naród polski przeżywał przed dwudziestu pięciu laty i które przekazał jako piękną legendę w spuściźnie.

A jednak początek tej przepięknej legendy sięga dalej, niż rok 1905, dotyczy innych osób, których wydarzenia styczniowe i lutowe tego roku nadziei i nowych zawodów wysunęły. Nic legendy wysnuwa się z głębi duszy narodu, który po odurzeniu pozytywistycznem począł nieśmiało w przyszłość spoglądać i wyczarowywać nowe formy życia, miast ugorów i niewiary. Siła było tych ludzi, duża gromada wyznawców.

Rok 1905, rok strejku szkolnego! Kto go rozpoczął?

Niewątpliwie już ci, co elementarze rozdawali szczodrą dłonią i uczyli czytania i pisma dzieci chłopskie na pastwiskach lub w zaciszach łopianu, wskazując czarowną bajkę o Polsce. Rozpoczął ją już Promyk, gdy na wierzejach przydrożnej szopy narysował elementy podstawowe nauki czytania i przechodniów zachęcał do wiedzy, dawał klucz do sezamu, zazdrośnie kryjącego nieznaną przyszłość.

Niewątpliwie pierwsi ogłosili strejk i wyprowadzili dzieci ze szkoły obcej ci, co bez patentów, przymierając głodem, z własnej swej woli prowadzili nauczanie dziecka polskiego w ukryciu po domach inteligentów, na poddaszach robotniczych i w izbach chłopskich. Któż oni, żołnierze bezimienni, rycerze ofiarni? gdzie spoczywają? Tego nikt nie potrafi już ustalić. Każda okolica miała takiego cichego apostoła, najczęściej ofiarną duszę kobiecą, która trwała na porzuconem beznadziejnie stanowisku i rozniecała ogień, co wybuchnął krucjatą młodzieńczą w r. 1905.

Czy nie pierwszym rzecznikiem strejku szkolnego będzie sędziwy chłop unicki, co na modlitewniku, nie umiejąc sam czytać, uczył sztuki czytania dzieci swe i dzieci swych przyjaciół?

I zataczała ta akcja szerokie koła wśród budzącego się społeczeństwa. Powoływała do życia ruchome uniwersytety, na których entuzjazm profesorski, bez środków naukowych, w niezmiernie ubogich warunkach, wyczarowywał cudny świat wiedzy. Tworzyła wśród niebezpieczeństw szkoły wrogiej oazy myśli czystej, kółka myśli młodzieńczej, nakazując wiarę w to, co ojcowie przekazali.

Otóż tych nigdy nieznanych, bo zatartych w bezimienności konspiracji, albo przedwcześnie znużonych i od życia odeszłych, nie należy zapominać, jako istotnych twórców strejku szkolnego, jako zawiązkę przepięknej legendy, która powstała, przetrwała i pójdzie w dalszy świat poza granicą Rzeczypospolitej, gdzie tyle dzieci polskich zkazano na wynarodowienie.

„Mówię bez motywów, bo są rzeczy, których nie trzeba motywować. Są rzeczy, o które się nie prosi; są rzeczy, których się nie daje, tylko się bierze, bo one są wolą narodu".

Nie wszystkich Polaków pomieściła Polska, ale wobec wszystkich obowiązana jest do opieki i ochrony tej największej wartości, jaką jest czystość mowy ojczystej, jaką jest wogóle mowa ojczysta. Niedość jest urządzić zlot tych, co górnie młodość przeżyli, co obronili swą duszę od zagłady i wynieśli ją z domu znieprawienia, niedość jest rozważać swe przeżycia i przekazywać je historji, stokroć ważniejszą rzeczą jest snucie dalszego motka pięknej legendy. Bo każda legenda ma tę cudowną właściwość, że nigdy się nie starzeje, że trafia wszędzie, gdzie tylko oczy umieją patrzeć, a dusza czuje.

Wiktor Ambroziewicz

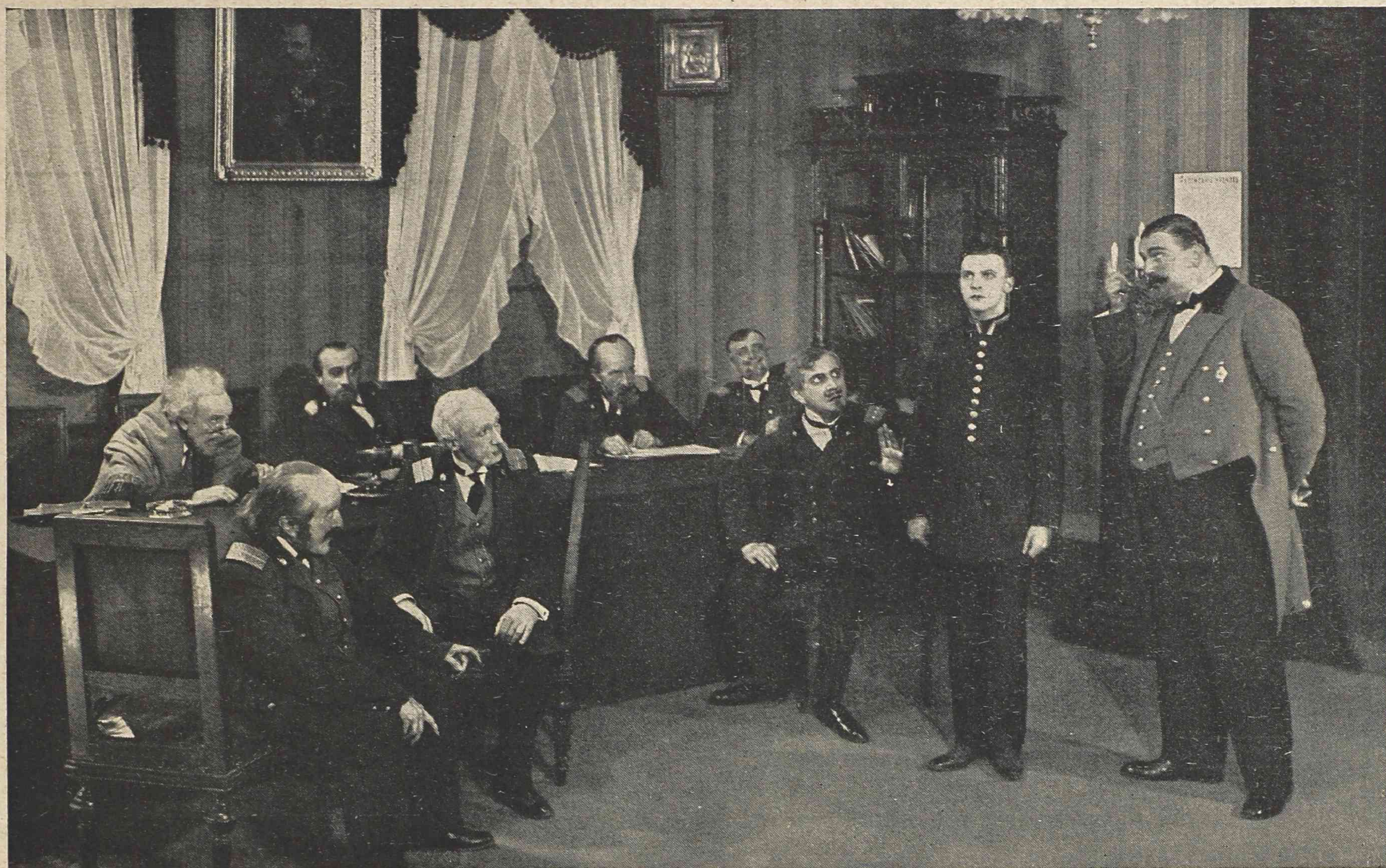
PAMIĘTNY WIEC

19 lutego 1905 roku odbył się w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa pamiętny wiec rodziców. Wzięło w nim udział około 3 tysięcy osób. Wogóle wiec ten wywołał duży rezonans w naszem społeczeństwie. Jak wiadomo, strejk młodzieży był przyjęty z rezerwą przez liczne koła rodziców, kierowników opinji społecznej, publicystów, uczonych, pisarzy. Wychodząc ze słusznego założenia ekonomji sił społecznych i narodowych, nie kwapiono się z dostarczeniem zbędnych ofiar caratowi. Starsze pokolenie było jednak tak samo wrogo usposobione dla szkolnictwa rosyjskiego, jak i młodzież. Zarysowały się więc nie różnice co do istoty rzeczy, lecz co do metody. Nauczycielstwo rosyjskie nie orjentowało się w nastrojach naszego społeczeństwa. Błędnemi zupełnie wyobrażeniami karmił się ówczesny kurator okręgu naukowego warszawskiego Szwarc, następca osławionego Apuchtina.

Wydał on pozwolenie na odbycie wiecu rodziców w przeświadczeniu, iż uda mu się publicznie uspokoić oburzoną opinję. Miał to być wiec pacyfikacyjny. Pozwolenie uzyskał sędzia Stanisław Lewicki przy współudziale ks. Światopełk Mirskiego. Zebranie odbyło się za zaproszeniami.

W przepełnionej sali pierwszy głos zabrał znakomity adwokat Adolf Pepłowski. Mowa jego wzbudziła sensację. Znakomity ten prawnik uchodził za przeciwnika strejku młodzieży. Pragnął jednak, jak wszyscy polacy, szkoły narodowej.

JAK WYGLĄDAŁA RADA PEDAGOGICZNA GIMNAZJUM ROSYJSKIEGO, AKT III „MŁODEGO LASU", J. A. HERTZA



W GABINECIE DYREKTORA GIMNAZJUM. WYKONAWCY RÓl. GŁÓWNYCH PP.: KROGULSKI, BEDNARCZYK, JUSTJAN, NEUBELT, STASZKOWSKI, SKARZYŃSKI, T. FRENKIEL, SOLARSKI I JANUSZ Fot. Jan Malarski

O nauczaniu rosyjskiem i o ich systemie wychowawczym miał wyrobione zdanie. Przemówienie mecenasa Peplowskiego stało się apelem do społeczeństwa o szkołę polską. Identycznie niemal co do treści przemawiał prof. Ignacy Chrzanowski, polemizując kilkakrotnie ze Szwarcem, który „nie ponimał po — polski".

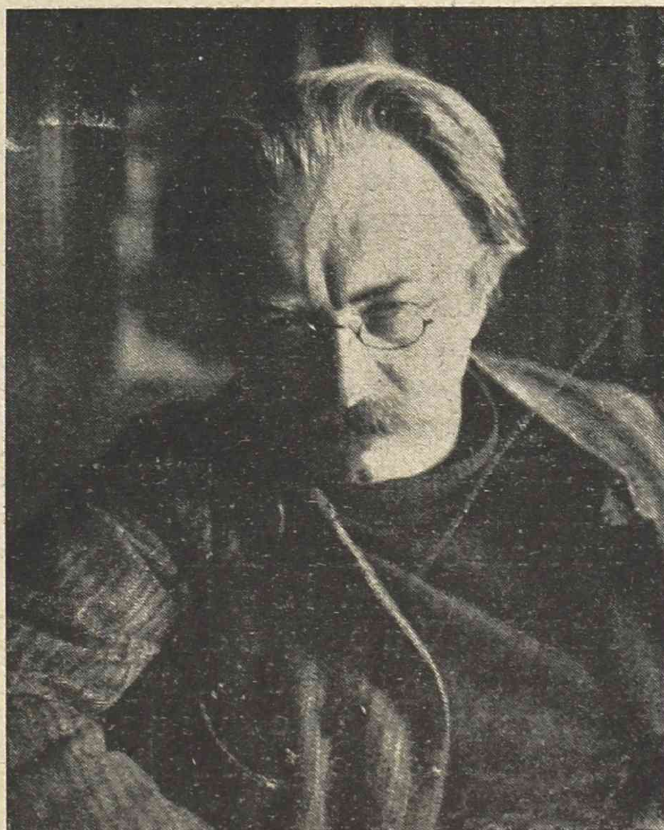
Kurator Szwarc, zadufany w swojej władzy, wysłuchał wieczoru tego wielu rzeczowych i wersalskich uwag pod adresem resortu, na czele którego czuwał w „Prywislinji" nad rządem dusz. Były to jednak tylko odgłosy znacznie jaskrawszej rzeczywistości. Wiemy przecież, że szkolnictwo rosyjskie w Polsce kierowało się zasadami policyjnemi, szpiegowskiemi, demoralizującemi, deprawującemi psychikę naszej młodzieży.

Szalę wiecu przechyliło przemówienie Andrzeja Niemojewskiego. Pisarz ten w szerokich kołach konspiracyjnej Polski posiadał duży autorytet. Znany był ze swojej swady i temperamentu. Rozpoczął on swoje przemówienie:

— Co tu dużo mówić! Zebraliśmy się, żeby oświadczyć, iż nie chcemy szkoły obcej. Pragniemy szkoły własnej, z polską mową, z polską duszą!

Rozległy się huczne oklaski. Niemojewski stał na estradzie ogłuszony tym huraganem jednomyślności, jaki wytworzył się po jego jasnem oświadczeniu. Szwarc zrozumiał, że z pacyfikacją jest niedobrze. Chyłkiem ulotnił się ze sali.

Wiec trwał dalej. Skończył się dopiero koło godziny 2-ej w nocy. Uczestnicy, rodzice wrócili do domów z decyzją nie przeszkadzania strejkowi. Byli i tacy, którzy od tej chwili wyraźnie stanęli po stronie walczącej młodzieży.



ANDRZEJ NIEMOJEWSKI, REDAKTOR „MYŚLI NIEPODLEGŁEJ"

Andrzeja Niemojewskiego władze rosyjskie aresztowały w kilka dni później i skazały na administracyjną deportację. Imię jego zaczęło zażywać dużej popularności wśród młodzieży i politycznie wyrobionego społeczeństwa.

F.

WALKA O SZKOŁĘ POLSKĄ

Z racji 25-lecia pamiętnego strejku szkolnego na ziemiach Kongresówki, Związek zawodowy nauczycieli wydał zbiorową księgę pt. „Walka o szkołę polską". Zebrano w niej wiele wspomnień z tych czasów, tak pochodzących od wychowawców, jak i młodzieży. Referaty ogólniejsze dali: Dr. A. Próchnik „Rusyfikacja szkoły polskiej po powstaniu styczniowem", S. Drzewiecki „Strejk szkolny roku 1905", Z. Nowicki „Walka o spolszczenie szkoły ludowej", oraz Dr. J. Lechicka „Odgłosy strajku szkolnego w roku 1905 wśród młodzieży galicyjskiej". Z głosów młodzieży na wyróżnienie zasługuje wspomnienie Witolda Giełżyńskiego o Strajku gimnazjalnym w Półtusku.

Książka ta jest bardzo cenną jako dokument historyczny. Dano w niej zresztą nietylko fakty, ale i te nastroje psychologiczne, wśród których społeczeństwo nasze musiało się łamać i walczyć o lepszą swoją przyszłość.

Instytut Literacki a Akademja Umiejętności

Przez szereg lat na porządku dziennym naszych dyskusyj literackich była sprawa założenia w Warszawie Akademji Literatury Polskiej. Omawiały ją wielokrotnie stowarzyszenia literackie i uznały za instytucję niezbędną w odrodzonej Polsce, jako żywy znak nieustającej opieki Państwa nad językiem i literaturą ojczystą. Zabiegi o Akademję posunęły się dość daleko, opracowano już bowiem statut i przedstawiono go sferom właściwym do zatwierdzenia. Chociaż od roku urzeczywistnienie projektu stanęło na martwym punkcie, nie tracono nadziei, że nadejdą niebawem konjunktury przyjaźniejsze, które pozwolą powołać Akademję do życia.

Tymczasem w ostatnich dniach stało się jawnem, że już d. 26 marca r. b. p. minister Sł. Czerwiński zatwierdził statut instytucji, która ma p o c i c h u zastąpić organizowaną oddawna Akademję Literatury. Nazywa się ten nowy twór „Instytutem popierania polskiej twórczości literackiej" albo w skrócie „Instytutem Literackim". Popieranie rozwoju literatury ma się odbywać „przez działalność zapomogową i wydawniczą". Środków dostarczać będzie podobno Fundusz Kultury.

Nie znamy bliżej pobudek, które taką właśnie formę nadały dążeniom literatów polskich, pragnących stworzyć wielką, reprezentacyjną instytucję własną na wzór Francji, Włoch i innych krajów. Budowę Instytutu trzymano w najgłębszej tajemnicy przez całe miesiące. Dla zorjentowania się w sytuacji, wystarczy jednak powierzchowna analiza samej ustawy „Instytutu Literackiego" *).

Ogólny nadzór nad działalnością Instytutu sprawuje Rada, złożona z 20 osób, a mianowicie: a) z sześciu pisarzów na polu polskiej literatury pięknej, wybieranych na trzy lata; b) z sześciu badaczów literatury i języka; c) z ośmiu członków Komitetu Instytutu Literackiego, wybieranych przez Radę na trzy lata z pośród pisarzów na polu polskiej literatury pięknej oraz badaczów literatury i języka (bez określenia stosunku liczbowego jednych do drugich). Co roku ustępuje z grup a) i b) po dwóch członków Rady. Taki skład Rady nie nastręcza wątpliwości, chociaż nie jest logicznem, iż Komitet zarządzający sprawami Instytutu należy do Rady nadzorczej, t. j. kontroluje samego siebie. Sensacja zaczyna się dopiero od zdania: „Członków, wymienionych pod a) i b) powołuje Rada z pośród kandydatów, *przedstawionych po porozumieniu się z Polską Akademją Umiejętności* przez Komitet w liczbie dwóch na każde miejsce".

Skądże ten dziwaczny warunek p o r o z u m i e w a n i a s i ę w sprawach literatury z Akademją Umiejętności, t. j. z instytucją czysto *naukową?* Intencje założycieli są jasne: nie potrzeba nam — mówią między wierszami — dwóch akademij; wystarczy jedna, odwieczna, która może mieć w Warszawie swą ekspozyturę „zapomogową i wydawniczą". Wiadomo było oddawna, że Akademję Umiejętności niepokoiły starania o stworzenie w Warszawie akademji czysto literackiej. Wyrazem tego niepokoju była, między innemi, urzędowa opinja, którą Akademja wyraziła w memorjale, przesłanym Komisji Kodyfikacyjnej podczas obrad nad prawem autorskiem. Sprzeciwiając się stanowczo utworzeniu „Skarbu Narodowego Literatury i Nauki", mającemu powstać z procentów od sprzedaży dzieł, których prawo autorskie wygasło *(domaine public payant)*, Akademja takie przytoczyła motywy: „Przyznanie praw autorskich państwu doprowadziłoby w następstwie — przy dziełach literatury — do ograniczenia wydań dawniejszych dzieł, choćby wysokiej wartości, na korzyść modnych chwilowo kierunków ostatniej doby; w tym samym duchu prowadzonoby niewątpliwie także gospodarkę funduszami, jakieby Państwo pozyskało na podstawie przypadłych mu praw autorskich... Ł a t w o z r o z u m i e ć, ż e i n t e r w e n c j a n p. A k a d e m i j L i t e r a c k i c h l u b p o d o b n y c h z r z e s z e ń n i e o d w r ó c i p o w y ż s z e g o n i e b e z p i e c z e ń s t w a, m o ż e j e r a c z e j s p o t ę g u j e **).

Wyrażenie: „Akademij Literackich lub podobnych zrzeszeń" stanowi jaskrawy dowód, że Akademja Umiejętności nie uznaje potrzeby jedynej na całą Polskę Akademji Literatury i że widzi w projekcie takiej instytucji tylko próbę jeszcze jednego, nowego „zrzeszenia". Takie stanowisko wynika ze starej już tradycji Akademji Umiejętności. Literatura — według niej — to nie t w ó r c y, ale — „badacze literatury" czyli profesorowie - poloniści. Nie potrzebują oni wrodzonego zmysłu estetycznego, nie potrzebują osobistego rozkoszowania się pięknem utworu; wystarczy im w i e d z a o l i t e r a t u r z e, którą się zdobywa mozolnie w szkole średniej i w uniwersytecie, w seminarjach i w bibljotekach. Im obfitszą jest taka „wiedza", tem bardziej profesor - polonista ma prawo do tytułu „naukowca" a więc do opieki i „poparcia" Akademji U m i e j ę t n o ś c i. Instytut Literacki będzie miał w swej radzie 6 polonistów, mianowanych przez Akademję, a ponieważ ilość „badaczów literatury" w Komitecie może dochodzić do siedmiu, więc ogólna ilość polonistów w Radzie może wynosić 13 osób czyli znakomitą większość. Taki charakter Instytutu Literackiego będzie odpowiadał wiernie pojmowaniu przez Akademję Umiejętności spraw literatury twórczej. Zdobędziemy jeszcze jedną więcej placówkę „naukową" Akademji Umiejętności, a sprawa Akademji Literatury zostanie pogrzebana na czas dłuższy.

W jakiż sposób powstała tak szczególnie pojęta „placówka"? Statut Instytutu Literackiego wskazuje, że odbyło się to drogą bardzo oryginalnej konstrukcji Rady i Komitetu zarządzającego. Rada wybiera członków Komitetu w latach następnych, pierwszych zaś członków Rady (§ 8) zapraszają założyciele Instytutu, którzy jednocześnie „utworzą pierwszy skład Komitetu". Do grona tych założycieli należą: Zygmunt Bartkiewicz, p. Zofja Gąsiorowska-Szmydtowa, p. Aniela Gruszewska-Nitschowa, Artur Górski, prof. Stanisław Pigoń, prof. Leon Płoszewski, prof. Stanisław Szober i Emil Zegadłowicz. Nie możemy, oczywiście, kwestjonować wyboru członków założycieli Instytutu; Artur Górski miał prawo dobrać sobie ludzi, do których miał większe zaufanie. Musimy jednak zapytać, w jakiej instytucji, w jakiem stowarzyszeniu istnieje przepis statutowy, iż członkowie-założyciele stają się a u t o-

*) Statut Instytutu popierania polskiej twórczości literackiej. Nakładem Instytutu. Warszawa, 1930.

**) „Protokuły obrad Sekcji prawa cywilnego Komisji Koryfikacyjnej Rzeczyp. Polskiej. Prawo autorskie". Kraków, 1921. Nakł. Kom. Kodyfikacyjnej. (str. 92).

NA MONARSZYCH DWORACH EUROPY



Król bułgarski Borys, narzeczony włoskiej księżniczki Giovanny



Księżniczka włoska Giovanna, zaręczona z Królem bułgarskim Borysem



Król szwedzki Gustaw obchodził 60-lecie swoich urodzin: złożył mu życzenia król duński Chrystjan



Król duński Chrystjan X, na spacerze podczas swego pobytu w północnej Szwecji

Fot. Photo-Plat

matycznie Komitetem zarządzającym? Przypuszczać należy, że nie był to świadomy wybór samych siebie, ale raczej nieujawniona dla jakichś poufnych względów nominacja. Któż tedy dokonał takiej nominacji? Odpowiedź może być jedna: albo dyrektor Funduszu Kultury, albo też bliższe „porozumienie z Akademją Umiejętności". W jednym i drugim wypadku zaniechanie porozumienia z przedstawicielami literatury sprzeciwia się dobrym obyczajom kulturalnym i musi wywołać stanowczy sprzeciw zainteresowanych, t. j. twórców literackich. Nie można dopuścić do tego, aby sprawy naszej literatury regulowali wyłącznie poloniści i „przyczynkowicze". Literatura twórcza ma swój byt odrębny, ma swą wiekopomną chwałę w narodzie i nie może być pozbawiona prawa stanowienia o swych potrzebach w normalnej organizacji państwa. Nasze stowarzyszenia literackie żyją w rozproszeniu i niełatwo zdobywają się na jednolitą, energiczną akcję. Może jednak w tej nagłej porażce, jakiej doznały przez niewiarogodną organizację Instytutu Literackiego, znajdą dostateczną pobudkę, aby założyć zbiorowy protest przeciw arbitralnej próbie odsunięcia literatów od opieki nad twórczością literacką.

Jan Lorentowicz

Nasz przyjaciel Kredba

Bawił w Warszawie, a w tej chwili zwiedza Lwów, nasz arcyprzyjaciel, Vaclaw Kredba. W polskich kołach literackich wygłasza się to nazwisko z najgłębszym szacunkiem. Należy tedy przedstawić go szerokim kołom, aby je zapamiętały również i zachowały we wdzięcznej pamięci, za to, że oddał nam połowę swojej uczciwej duszy, entuzjastyczną okazując miłość dla polskiej twórczości. Zna on doskonale nasz język, literaturę naszą zna znamienicie, a najpiękniejsze lata swego życia temu poświęcił, aby najcelniejsze jej dzieła w świetnych przekładach swojemu ofiarować narodowi.

Wspaniały bilans tej pracy wykazuje trzysta pozycji. Trzysta książek polskich przełożył niezmordowany ten człowiek w czasie od roku 1904 do dnia dzisiejszego. Rozpoczął od nowel Wł. Zagórskiego, zaczem kolejno przełożył: „Chwile" Orzeszkowej, — „Dzień" Prusa, — „Mróz" Krechowieckiego, — „Wierną rzekę" i „Urodę życia" Żeromskiego, — „Jaskółkę", „Z minionych dni" i „Marję Magdalenę" Daniłowskiego, — „Nowego Tarzana" Langego, po dzieł kilka Wiłkońskiego, Gawalewicza, Gomulickiego, Jeske - Choińskiego, Glińskiego, Rodziewiczówny, Zapolskiej, Reymonta, wreszcie wszystkie niemal celniejsze dzieła młodego polskiego pokolenia. Pracą jednak jego największą i najbardziej umiłowaną jest przekład całego Sienkiewicza od pierwszej do ostatniej litery. W tej chwili kompletne to wydanie, którego ostatnie tomy jeszcze się ukazują, wydanie graficznie wspaniałe i doskonale ilustrowane, tak, że może wzbudzić zazdrość w nas samych, rozchwytywane jest przez publiczność czeską. W oknie wystawowem każdej księgarni w Pradze harcują sienkiewiczowscy bohaterowie. W tryumfalnym pędzie zabiegli stąd do najmniejszej czechosłowackiej wioski, szerząc sławę polskiego piśmiennictwa. Sienkiewicz stał się ukochanym autorem, wedle wykazów statystycznych najbardziej czytanym. Wedle pobieżnego obliczenia tylko jednego z dzieł Sienkiewicza



WACŁAW KREDBA

rozeszło się w Czechosłowacji — 174 tysiące egzemplarzy.

Jakże nie pokłonić się nisko Wacławowi Kredbie, który wśród wielu tłumaczów Sienkiewicza największego dokonał trudu? Wygłosił on w Poznaniu i Warszawie niezwykle ciekawą prelekcję na temat: „Sienkiewicz w Czechosłowacji". Dowiedzieliśmy się z niej zdumiewających rzeczy. Oto cyfrowo nasz wielki pisarz zajmuje pierwsze chyba miejsce wśród niezliczonego szeregu tłumaczonych autorów. Czytelnie publiczne zaopatrzone są zawsze w kilkanaście egzemplarzy tej samej książki, nie zwracanej, a więc szeroko i pilnie czytanej, przez całe tygodnie. „Krzyżacy" są księgą najbardziej poszukiwaną. Kiedy zaś najszanowniejszy prelegent zaczął wyliczać cyfry nakładów, odczyt literacki zmienił się w prelekcję astronomiczną, takie tam mnogie padały krocie. Wspomniał on o wszystkich zasłużonych w tem szlachetnem dziele, oczywiście jednak, nie wspomniał o sobie. Należy więc Wacławowi Kredbie, cichemu, wzruszająco skromnemu człowiekowi, oświadczyć, że nazwisko jego zapisujemy złotemi zgłoskami, jako tego, który się dobrze zasłużył polskiej literaturze.

Chwała Sienkiewicza zaczęła się szybko szerzyć na czeskich ziemiach wraz z rosnącą jego chwałą w Ojczyźnie. Dokonywano wtedy przekładów dorywczych, natychmiast rozchwytywanych. Pierwszymi tłomaczami byli: I. Hadec („Hania" i „Selim") i Celestyn Frie („Czyja wina?" — „Na jedną kartę" — „Ogniem i mieczem", wnet po ukazaniu się książkowego wydania w Polsce). W czasie 1897—1901 dokonano zupełnego niemal wydania, lecz w przekładach różnych i różnej wartości: V. Kredby, I. Langnera, Paszyrka, Prusira, Jarosława Rozwody, Vamera i innych. Kiedy książek tych zabrakło na rynku, wtedy młoda, ambitna firma wydawnicza „Krasnica i Hampl" przystąpiła w r. 1926 do wydania kompletnego i wspaniałego. Polak ogląda to wydanie z rozrzewnioną dumą, a Wacław Kredba jest właśnie tego zbiorowego wydania tłumaczem. Za tę pracę wspaniałą i za cały trud życia dziękujemy temu człowiekowi, który w tej chwili zwiedza Polskę, wszędzie serdecznie witany. Można go poznać po tem, że jest niezwykle skromny i na nasz kraj patrzy z oczarowaniem w oczach. W najbliższych dniach zjawi się we Lwowie, gdzie nikogo nie zna. Zwracam się tedy do dwustu tysięcy moich przyjaciół we Lwowie z prośbą, aby się tam najgoręcej zaopiekowali Wacławem Kredbą, pokazali mu miasto i jego cudowną duszę i uściskali serdecznie. Mało bowiem kto inny wart jest więcej tego odznaczenia, niźli ten człowiek, co mi o Lwowie z najgłębszem mówił wzruszeniem. Tę samą prośbę adresuję do czternastu tysięcy moich przyjaciół w Zakopanem, gdzie się Kredba zjawi w drugiej połowie października. Proszę, aby mu tam było dobrze i tanio, a przedewszystkiem serdecznie, bo inaczej awantura gotowa — ze mną.

K. Makuszyński

CHOPIN I GEORGE SAND

W ROCZNICĘ ŚMIERCI FRYDERYKA CHOPINA

„Wśród dusz, które odeszły chore i spłoszone przeciwnościami życia, wśród umarłych, z którymi współżyję i oczekuję spotkania w lepszym świecie, w promieniach boskiego światła, żywszych od słońca na ziemi, najpiękniejszą i najczystszą w swojej istocie jest dusza Fryderyka Chopina".

Tak pisała George Sand w wspomnieniach z historji swojego życia.

Ale sławna pisarka z Quai Malaquais nie miała wielu przyjaciół. Poufnie i otwarcie mówiono, że charakter i etyka pani Aurory nie jest bez zarzutu, i oczerniano jej postępowanie, w stosunku do Musseta i Chopina. Zwierzenia pani George Sand nie rzucają cienia na nikogo. Świetnej powieściopisarce romantycznej Francji chodzi raczej o to, aby spowiedzią swojego życia odwrócić od siebie aureolę erotyzmu, którą wytworzyła wokół niej zjadliwa opinja współczesnych. Dlatego pani George Sand najwyższem szczęściem i zadowoleniem nazywa miłość macierzyńską. Pisze dużo o uczuciu przyjaźni i przywiązania, które miała dla ludzi bliskich, ale nigdy nie zdradza się z naturą zmysłowej niewiasty, za którą uważali ją romantyczni i potomni.

Było to w czasie, kiedy mansarda na Quai Malaquais i wykwintne wnętrze pani d'Agoult, piszącej pod pseudonimem Daniela Sterna, należały do salonów romantycznych, w których poznawały się z sobą wybitne umysły świata artystycznego, reprezentowane najliczniej w Paryżu. Wtedy George Sand była w rozkwicie, nietyle urody, której właściwie nigdy nie posiadała, ile uroku ponętnej niewiasty w balzakowskim wieku, o dużych, czarnych oczach, pełnych nieuchwytnego wyrazu i błyskotliwym umyśle, promieniującym wiedzą, mądrością, znajomością życia i ludzi. Aurora miała już za sobą ofiarę z miłości Musseta i to przeżycie, którego historja rozegrała się w Wenecji, komentowane potem najróżnorodniej, dodawało jej wdzięku interesującej uwodzicielki. Tym razem, wybór niezawodny padł na Fryderyka Chopina. Może dlatego, że największym czarem zebrań romantycznych był fortepian, niepodzielne po wszystkie czasy królestwo Chopina, a może dlatego, że jego romantyzm był tak biegunowo różny od haseł tej epoki, które w literaturze i w życiu głosiła George Sand. Jej zdrowa, żywotna natura unikała chorobliwych wzruszeń, a przekonania romantyczne sławnej „romanciere'y" były organicznie związane z radością życia i realniejsze od wszystkich nieziszczalnych pragnień, którym hołdowała epoka.

Transformacje Aurory, to największa niespodzianka, którą gotuje współczesnym, bo nic jej tak nie rozśmiesza, jak zgorszenie publiczne. Bawią ją pogardliwe spojrzenia mężczyzn, na widok damy, palącej fajkę na najdłuższym cybuchu, na balkonie, w śródmieściu i przerażone oczy kobiet, które boją się



FRYDERYK CHOPIN

sawantki, mającej odwagę ukazać się w słoneczny dzień w męskim stroju, w szarych spodenkach, aksamitnej kurtce, zabarwionej niesłychanie jaskrawym krawatem i zawadjackiej czapeczce, wyzywającej świat zacofanych. Od kiedy baronowa Aurora Dudevant przyjęła kryptonim męski: George Sand, głos opinji nie ma dla niej znaczenia. Jest kobietą piszącą i wolno jej w imię wiary romantycznej głosić teorje, w które wierzy i te, które są jej dogodne. Lubi śmiać się wesoło niekrępowanym śmiechem pustego dziecka i stroić figle dawno nieprzystojne dojrzałej kobiecie. Ale potem umie zasiąść do wytrwałej pracy, pisać z ogromną łatwością i najpoważniej zarobić na życie dla siebie, dla dzieci i tych, których kocha. Współcześni mówili złośliwie, że Aurora z miłości czerpie fluid konieczny do życia i twórczości, a kosztem sił żywotnych swoich ukochanych utrzymuje młodość i zdrowie, gdy potomność ogłosiła tem. sąd, nieomylnym wyrokiem wskazując na dwie ofiary, o które gniewnie upominała się historja, ludzi sławnych z genjalnego talentu: Alfreda de Musset i Fryderyka Chopina.

Niewiadomo tylko, czy historja słusznie potępiła panią George Sand, ale to jest pewne, że zarówno Chopin, jak i Musset, zapadli poważnie na zdrowiu dopiero w bliższem pożyciu z Aurorą. Wina była niewątpliwie nietyle pani George Sand, ile chorobliwej epoki, której wyznawcy umierali młodo i na suchoty. Musset i Chopin byli znacznie młodsi od Aurory, ale różnicę wieku w stosunku do wątłych młodzieńców wyrównywała siła i zdrowie pani Sand, która intuicją kobiecą wyczuwała, czem była jej macierzyńska opieka, jej czułość i troska, dla ludzi, potrzebujących w swojej słabości zdrowego otoczenia.

Wesołe usposobienie Aurory i jej żywiołowy temperament oczarowały Musseta. Zdawało się wtedy młodemu poecie, że cały urok życia przybrał postać i kształty ukochanej, że poza jej uśmiechem, wdziękiem i dowcipem, świat cały staje się szary i nudny. Ale miłość przeniesiona z nadsekwańskiego wybrzeża pod włoskie niebo i na egzotyczne tło malowniczej Wenecji, która miała sprzyjać rozwojowi romantycznego uczucia dwojga wyjątkowych ludzi, straciła czar paryskich wieczorów. Alfred przeziębił się i chorował w Wenecji, Aurora pielęgnowała go troskliwie, pisząc przytem powieść, której dochód miał zapewnić obojgu dłuższy pobyt we Włoszech, ale wszystko to robiła bez entuzjazmu, spełniając tylko swój obowiązek. Po pewnym czasie, gdy Musset wyzdrowiał, z kolei zapadła na zdrowiu pani George Sand. Kobieta trzydziestoletnia, blada, mizerna, z podwyższoną temperaturą, wydała się nagle dwudziestoczteroletniemu poecie starą i brzydką. Oboje marzyli wtedy o najrychlejszym powrocie do Paryża, — i o zerwaniu. Musset był tem odkryciem rozczarowany i zniechęcony do życia, gdy Aurora jak feniks odradzała się zawsze do nowej miłości. Napisze jeszcze do Alfreda ostatni list, najczulszy z wszystkich, że pragnie śmierci, aby nie przeżyć straty jego uczuć, ale rychło za-

pomni o tem i znów uwierzy, że życie jest piękne. Zanim pozna Chopina, ludzie jeszcze niejedno powiedzą o jej przelotnych miłostkach, a potem przeznaczenie zwiąże jej losy z życiem polskiego genjusza. Pani George Sand potrafi się zaraz dostroić do kamertonu mistrza; nie jest muzykalną, ale intuicją zrozumie wysoki diapazon jego sztuki. Wtedy Aurora przywdzieje czarną, długą suknię, obcisły stanik zapnie pod szyją stylową broszką romantyczną, uczesze się starannie, jak przystało na damę z czasów monarchji i zacznie zachwycać się wszystkiem, co polskie. Mickiewicza nazwie polskim Byronem, powstanie listopadowe najpiękniejszym odruchem wolnościowym, z wszystkich, które poruszyły Europę w 1830 roku, wreszcie tęsknić zacznie do kraju, w którym Chopin osierocił matkę i który tak niezatarte wycisnął stygmaty na całej twórczości genjalnego muzyka. Romansowa wyobraźnia Aurory podąży ku zielonym polom mazowieckiej ziemi i marzyć będzie o polskiej jesieni, pełnej cichego smutku i melancholji i o krajobrazie, pokrytym liśćmi, złoconemi rezygnacją minionego lata. Tylko natura polska, w treści swojej, pozostanie dla niej niezrozumiałą. Kiedyś, po wielu latach, pani George Sand przyzna się, jak obcą i zamkniętą pozostała dla niej polska dusza Chopina. Będąc wolnomyślną, szanowała religijne przekonania mistrza, ale nie mogła pojąć, dlaczego człowiek wierzący obawia się śmierci. „Chopin, jako polak" pisze George Sand, „żył w świecie koszmarów i legendy. Zamiast ukochane dusze zmarłego ojca i przyjaciela widzieć w lepszym świecie, miał nieustannie straszne wizje. Bał się okropnie samotności, mówiąc, że często nawiedzają go zjawy umarłych i wyciągają ku niemu lodowate dłonie". Były to jednakże późniejsze spostrzeżenia przyjaciółki Chopina, które nasunęło jej ośmioletnie współżycie z genjuszem. Pierwsze czasy zapowiadały się najlepiej; Aurora była oczarowana muzyką Chopina, gdy mistrzowi wydawało się, że pani George Sand jest uosobieniem kobiecego ideału i że nikt lepiej od niej zrozumieć go nie potrafi. Dlatego przyjaciele Chopina, widząc jak wielki wpływ ma Aurora na genjalnego muzyka, prosili ją, aby zabrała go z sobą na Majorkę, którą obrała na pobyt zimowy dla siebie i dzieci. Chopin, cherubin salonów paryskich, który tylko dla ukochanej osoby mógł opuścić swój fortepian i warsztat pracy, zdecydował się rychło do wyjazdu z rodziną pani Sand. Ale kapryśna zima, burze i deszcze, nie sprzyjały podróży Chopina; z Barcelony do Palmy męczyła go choroba morska, a potem okazało się nagle, że wielki muzyk jest chory na płuca. Gdy pani Sand i jej dzieci czuły się doskonale, Chopin, dręczony wyczerpaniem i złym stanem nerwów, stał się dla otoczenia przykrym i nieznośnym. Ból swój znosił zresztą odważnie, ale nie mógł opanować chorej imaginacji. Klasztor w Valdemosa, w którym zamieszkano, był dla niego pełnym strachów i zjawisk. Tam dopiero poznała Aurora, jak dalekim był Chopin od realizmu życia. Jakże



GEORGE SAND

często zastawała go przy fortepianie, gdy śmiertelnie blady z oczyma błędnemi poznawał ją dopiero po chwili! Potem uśmiechał się, improwizował, raczej przenosił w dziedzinę tonów swoje najsmutniejsze wizje, swoją tęsknotę straszną, która nawiedzała go w chwilach samotności. Stąd żałobne, pełne niewypowiedzianej melancholji preludja i te inne, jasne, słoneczne, skomponowane w niewielu chwilach dobrego poczucia, kiedy cieszył się śmiechem dzieci, dalekiemi dźwiękami gitary, śpiewem ptaków i barwą zimowych róż na południu. Preludja zostały w muzyce Chopina wspomnieniem Majorki, które budzi zachwyt i ściska serce równocześnie. Wtedy Aurora napisze w swoim pamiętniku, że twórczość Chopina przybiera barwy nieprzewidziane i stąd powstaje muzyka dziwna, cudowna melodja męczeństwa i że Chopin boi się tych wrażeń i emocji, które niezależnie od niego unoszą go w sfery znane tylko jemu. Codziennie, przez osiem lat wtajemniczał Chopin panią George Sand w swoje natchnienia twórcze, a potem muzyką spowiadał się jej z swojego smutku, tęsknoty i udręki myśli. Czasem pomysły jego były radosne i pełne młodości; w tych jaśniejszych chwilach poznała Aurora niezrównany wdzięk i słodycz wyrazu polskich motywów ludowych w muzyce Chopina. Myśli genjusza odbiegały od Majorki, całą jaźnią tkwiły w dalekiej ojczyźnie i stamtąd czerpały bogactwo melodji, niesłychanie łatwej i prostej, ale dlatego dostępnej tylko dla genjusza. Śpiew skowronka albo piękno łabędzia na jeziorze nie porywało Chopina; przysłuchiwał się raczej skargom orła na skałach Majorki, a widok martwoty zimowej i białego śniegu pociągał go więcej, aniżeli zapach drzew pomarańczowych i śpiewy maurytańskie. „Byłam mu może złym doradcą" — powie skromnie Aurora, w historji życia George Sand — „radził mi się bowiem, jak Molière swojej służącej, ale przez czas, w którym mi ufał, nauczyłam się odróżniać wszystkie drgnienia jego organizmu". Chopin miał charakter trudny, ogromnie wrażliwy na uczucia, które mu okazywano, umiał dni całe trwać w gniewie, za słowo nieopatrznie przez kogoś wypowiedziane, albo załamywał się zupełnie pod wpływem przeciwności i realizmu zjawisk życiowych. Znosił trudniej małą boleść, niż duże cierpienie, którego może nie miał siły zrozumieć i odczuć. Stąd głębia jego wzruszenia była niezależna od przyczyn. Podobnie w chorobie swojej niebezpieczeństwo znosił mężnie, a rozpaczał nad drobnem nieraz niedomaganiem. Wrażliwa natura Chopina lubiła wykwint, bała się niedoborów, i to było powodem jego choroby na Majorce. Nie mógł wrócić, ponieważ deszcze i burze z wiatrem przeciwnym uniemożliwiały podróż na statku, który przez trzy tygodnie nie opuszczał portu. Męczyli się więc oboje, Chopin chory i George Sand, znękana tym, który w bliższem pożyciu przygnębiająco oddziaływał na otoczenie. Aurora przyzna mu w swoich wspomnieniach, że był wykwintny, subtelny, bezinteresowny, że twórczość jego była najszlachetniejszą, umysł błyskotliwy, a inteligencja niezrównana, w dziedzinie muzyki; ale zato skarżyć się będzie na zmienny humor Chopina, na przeczuloną chorobliwie i podejrzliwą

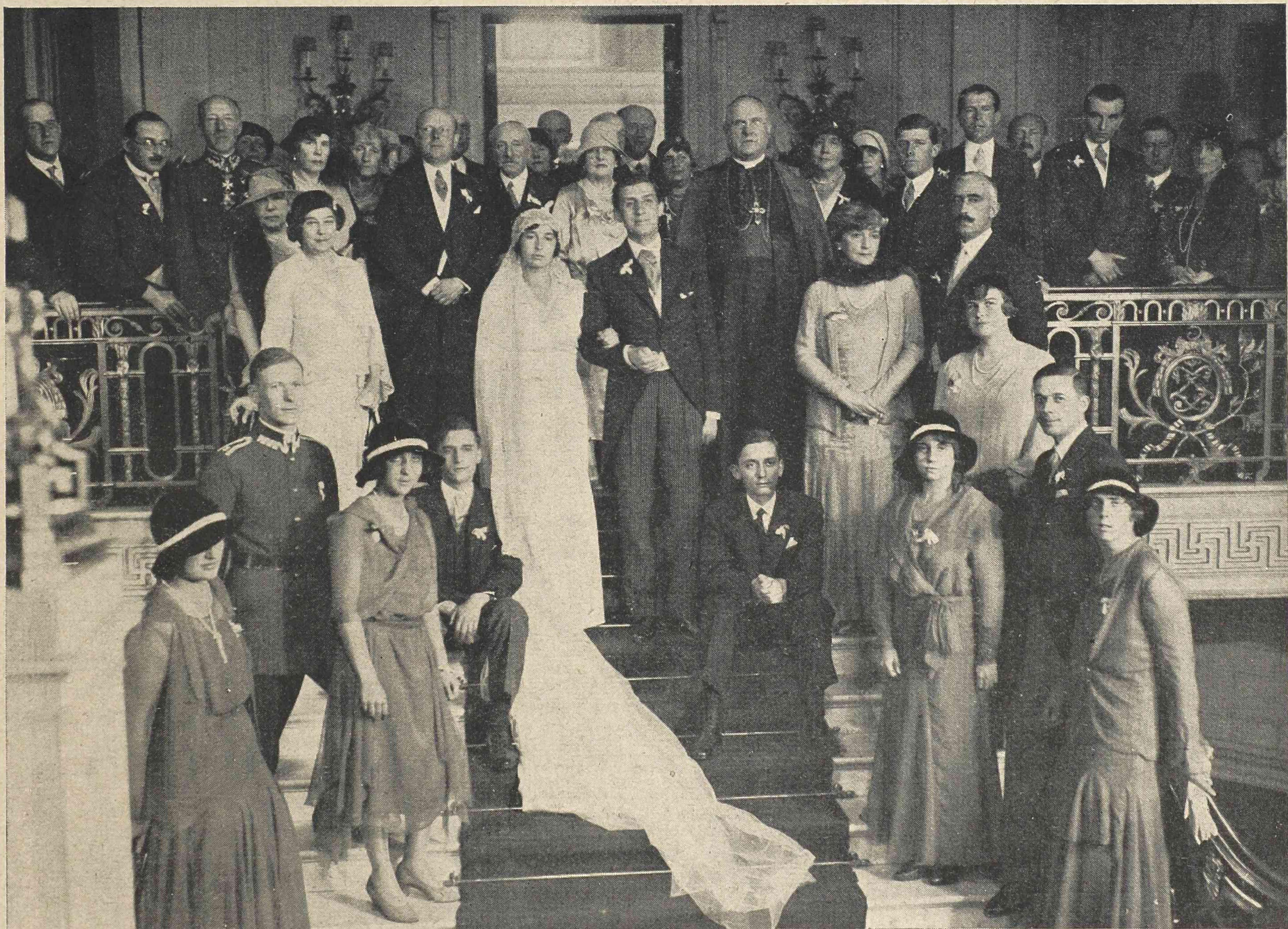
naturę, wymagającą nieraz rzeczy niemożliwych do spełnienia. George Sand nazwie to winą wrażliwości mistrza.

Chopin, czując się źle na Majorce, znienawidził Hiszpanję i nie mógł doczekać się wyjazdu. Wreszcie z końcem zimy opuszczono nieszczęsną dla Chopina wyspę, wyjechano do Barcelony, a potem do Marsylji. Aurora, ogromnie żałowała Majorki, która w tym czasie była w pełni rozkwitu. Czułaby się tam doskonale, gdyby nie chory, którego trzeba było pielęgnować. Po powrocie Chopin czuł się znacznie lepiej, ale zapał pani George Sand dla mistrza tonów zmienił się w pobłażliwe, spokojne uczucie macierzyńskie, bez wielkich emocji i niespodzianych wzruszeń. Chopin należał do jej rodziny, mieszkał przy niej w Paryżu, wyjeżdżał latem z Aurorą i jej dziećmi do jej posiadłości rodzinnej, w Nohant. Tam tworzył, tęsknił, cierpiał nad słabością swego wątłego organizmu, tam dzielił się z Aurorą światem natchnionych wizji, obrawszy sobie rodzinę Dudevant za głównych świadków promieniowania muzycznego genjuszu. Ale po kilku latach Chopin spostrzegł się, że nie był dla swojej przybranej rodziny osobą najważniejszą, a odczuł to tem boleśniej, że cios pochodził właśnie od Aurory. Gdy przyszło jej wybrać między Chopinem a synem Maurycym, prawdziwa miłość macierzyńska zwyciężyła i bez namysłu wybór padł na syna. Wtedy Chopin rozstał się z panią Sand, — na zawsze; nie uznawał kompromisów i nie chciał wrócić do przeszłości, ale mówiono, że wspominał ją czasem serdecznie i dobrze, a przyjaciółka Chopina obwiniała ludzi, którzy nie dopuścili do pojednania. A potem, pani George Sand zakończy historję swojego życia smutną retrospekcją, że nie miała szczęścia, tylko dobre chwile zadowolenia. Przyjaźń, macierzyństwo, refleksje filozoficzne, i marzenia, — oto szczęśliwe okresy życia. Pani Sand miała niewątpliwie wielkie wady, ale miała także i zalety. Jako wybitna sawantka i feministka, należała do awangardy kobiet, domagających się rewizji prawa małżeńskiego i równouprawnienia. Nie wstydziła się dla swojej pracy porzucić tytułu baronowej Dudevant i głosić teorji, których umiała zawsze odważnie bronić. Powtarzała niejednokrotnie, że jeśli popełnia w życiu błędy, to tylko z nieświadomości, bo nie wierzy w zło.

Niech to będzie usprawiedliwieniem jej grzechów w stosunku do polskiego genjusza, które wypominała jej bogata literatura o Chopinie.

Paula Lamowa

ŻYCIE TOWARZYSKIE



Dn. 8 b. m. odbył się w katedrze Św. Jana w Warszawie ślub córki ks. Januszostwa Radziwiłłów Krystyny z radcą ambasady polskiej w Londynie hr. Józefem Potockim, synem Heleny z ks. Radziwiłłów i Józefa hr. Potockich

Fot. Photo-Plat

Życie prywatne wybitnych osobistości

Ankieta „Świata"

J. Kaden-Bandrowski

Znaną jest powszechnie kiplingowska historja o słoniątku, które powędrowało nad brzeg szaro-smolistej rzeki Limpopo, aby dowiedzieć się, co wielki krokodyl jada na obiad.

— „Co jadasz na obiad?" — zapytało skromnie i z szacunkiem.



J. KADEN-BANDROWSKI

— „Dziś zacznę od ciebie" — wycedził przez zęby straszliwy jaszczur i łypnął dziko okiem... — Nie zjadł go jednak, a tylko nos mu na kwintę wyciągnął.

— W najlepszym wypadku wrócę z nosem na kwintę — myślałam ponuro, zdążając w kierunku ulicy Natolińskiej. Droga dziennikarza jest usłana cierniami.

— Co pan jada na obiad? — spytałam, ściskając dłoń p. Kaden-Bandrowskiego.

Zanim ochłonął, zdążyłam przypatrzeć się pięknemu salonowi, licznym kwiatom i kolekcji obrazów.

— Śliczne mieszkanie — pochwaliłam.

— Za małe. Każde mieszkanie jest za małe dla człowieka, który musi mieć dużo spokoju do pracy.

— Pan wiele pracuje?

— Tak. Zawsze za dużo pracy i za mało wypoczynku. W pracy żelazny rygor. Pracuję od rana, jak w biurze.

Potem już „poszło".

Bandrowski opowiada o wiekuistym nieporządku w swojej bibljotece (kiedyś jednak sprzątnie się chyba), o teatrze i operze, które odwiedza, jeżeli nie może znaleźć pretekstu do pozostania w domu, o swoich ulubionych kwiatach i obrazach, „rzeźby zastępują mi chwilowo moje potwornie monumentalne piece, które zajmują tyle miejsca w pokoju". Meble lubi antyczne, tylko w gabinecie pracy „amerykańska prostota".

— Jakie pisma pan czytuje?

— Przeważnie literackie. Pism staram się czytać jaknajwięcej. W czasie gdy pisałem „węglowe" powieści, czytałem dużo pism przemysłowych. Obecnie sprowadzam i czytam przeważnie pisma rolnicze.

— Czy uprawia pan jakie sporty?

— Tenis, pływanie, ślizgawka.

— Czy lubi pan zwierzęta?

— Bardzo. Ale uważam, że nie należy trzymać ich w mieszkaniu w mieście.

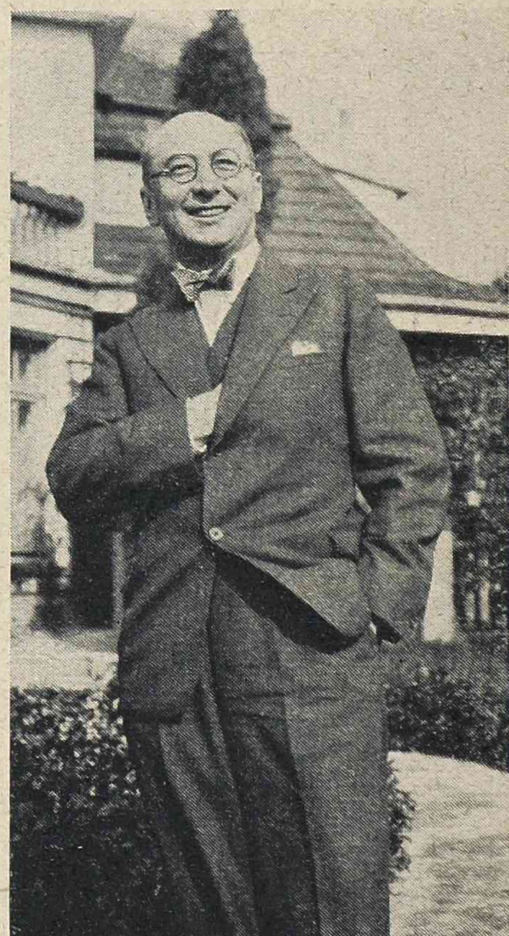
Dziękuję uprzejmemu gospodarzowi za udzielenie mi wyczerpujących odpowiedzi i przepraszam za przeszkodzenie w pracy. Ciekawość publiczności goni sławnych ludzi, jak głodny wilk sanie w lesie. Co pewien czas trzeba mu coś rzucić w paszczę. Kaden-Bandrowski jest widocznie do tego przyzwyczajony, gdyż nie „cedził przez zęby" i nie chciał mnie pożreć, jak ów krokodyl... Przeciwnie, żegnając mnie, powiedział: — Na obiad jem, jak kiedy, proszę pani. Lubię dobrą kuchnię. Każdy lubi dobrą kuchnię... I żeby było ładnie podane...

J. K.

Wacław Grubiński

Autor wielu sztuk teatralnych, powieści, nowel, szkiców, błyskotliwy feljetonista, Wacław Grubiński, opuścił od roku Warszawę i odkąd stał się posiadaczem własnego domu, zamieszkał na Żoliborzu. Jakie jest życie prywatne autora „Kochanków"? Zapytany o to Grubiński, odpowiada ze śmiechem:

— Jeżeli są ludzie, których to interesuje, — mówi — to dlaczegóż nie miałbym szczerze wyznać, że najbardziej lubię pracować rano, leżąc w łóżku po śniadaniu, złożonem ze szklanki białej kawy albo herbaty z mlekiem z dwiema bułeczkami, posmarowanemi masłem i obłożonemi szynką, polędwicą, lub serem litewskim. Moja Muza nie znosi głodu i niewygód i z pewnością nicby jej nie pomogły suchoty, aniby ją rozradowała epilepsja. Moja Muza kwitnie i owocuje w zdrowiu i niecierpi nędzy. Może to nie poetycznie, ale tak już jest. Piszę ołówkiem na dość dużym bloku, przyczem przepadam za ciszą. Mój świetny słuch jest mojem utrapieniem, bo gniewa mnie w pracy nawet tikanie zegara. Ani w sypialni, ani w gabinecie nie mam zegara. Nieraz zapychałem sobie uszy watą; niestety, dobrze słyszę i poprzez watę. Dlatego długie lata pracowałem tylko w nocy, bo noc przynosi ciszę. Ale niema dla mnie rozkoszniejszej rzeczy nad cichy poranek. Cisza i



WACŁAW GRUBIŃSKI

samotność są to dwie błogosławione potęgi, których niewymownemu czarowi nie mogę się oprzeć: natychmiast mnie zapładniają, co odczuwam z taką siłą, że niemal fizycznie.

— W rzeczach jedzenia nie jestem smakoszem. Alkoholu nie używam całemi miesiącami. Pijany byłem raz jeden w życiu. Miałem wówczas osiemnaście lat. Moi rówieśnicy podczas „kawalerskiego" bankieciku z dziewczętami wlali mi w gardło szklankę tak zwanego krupniku. Jest to słodkawa, cie-

pła obrzydliwość niezmiernie mocna. W jednej chwili straciłem przytomność.

— Ulubione moje książki? Najniechętniej czytam powieści. W żadnej formie literackiej niema tyle miejsca na banalność i sieczkę, co w powieści, a powieściopisarze nasi i nie nasi bardzo obficie z tego obszaru korzystają. Dlatego w dziewięciu wypadkach na dziesięć powieści są tak zabójczo nudne. Najulubieńszą moją lekturą są esseje literackie i filozoficzne, w polskiem piśmiennictwie prawie całkowicie nieobecne.

— Moja biblioteka? Nieduża. Około czterech tysięcy tomów, słabo uporządkowanych. Filozofja, historja, klasycy, krytyka.

— Od roku mam na Żoliborzu willę z ogródkiem. Jeżeli w nadchodzącym sezonie otrzymam nagrodę Nobla lub Ligi Narodów, kupię sobie samochód. Widzi pan, jak skromnie pod względem finansowym stoi literatura polska, skoro nie stać mnie na ten przedmiot pierwszej potrzeby. Niech pan nie sądzi, że żartuję; to Ford nazwał automobil przedmiotem pierwszej potrzeby.

— Wiem. Ale może pan nie wie, że Ford jest miłośnikiem literatury i znakomitym pisarzom oddaje swoje maszyny za pół darmo i na bardzo wygodnych warunkach płatniczych.

Jakie sporty pan uprawia?

— Fechtunek i pływanie. Zresztą, obydwa te sporty trochę zaniedbałem w ostatnich czasach. Nie zaniedbałem jednak codziennych ćwiczeń gimnastycznych rano i wieczorem.

— A wogóle...? — zająknąłem się, nie umiejąc sformułować pytania, które pragnąłem zadać twórcy *Księżniczki żydowskiej* i *Lwów* i *Świętego Grojosnawa*.

— Wogóle — podjął Grubiński — jestem za życiem regularnem, jak zegarek, z ośmiogodzinną podstawą snu. Może być dziewięć godzin, ale nigdy mniej, niż osiem.

Ż.

Stefan Norblin

Jaki tryb życia prowadzi ten świetny malarz, który potrafi pracować od dziesięciu do piętnastu godzin dziennie? Wstaje około 8.30 rano. Kąpiel. Śniadanie. Do trzeciej malowanie portretów. W pracowni stoją, jakby schną, postacie Ministra Zaleskiego i jego małżonki, hr. Skrzyńskiego, hr. Stef. Przeździeckiego, pułk. B. Wieniawy-Długoszowskiego, dyr. A. Szyfmana i wielu bardzo pięknych i jeszcze wytworniejszych pań.

Zabawa z pieskami: ostrowłosym foksterjerem Kubusiem i czekoladową jamniczką Basią, nawoływania do zachowania przez te czworonogi przepisów sanitarnych, wreszcie przyjmowanie licznych telefonów (zazwyczaj: — Dziś wieczór? Zaraz... Nie, to niemożliwe. Może jutro? No to czekam na hasło...) stanowią przerwy w pracy.

O trzeciej skromny posiłek. Po dwugodzinnej partji tennisa obiad u niezawodnego Krzyma. Mały spacerek, powrót do domu i praca. Okładki, plakaty, dekoracje. Do pierwszej lub drugiej w nocy.



STEFAN NORBLIN

Odpoczynek?

W pierwszej linji tennis. Poza tem samochód, gdy pogoda dopisuje. W niedzielę camping czy ausflug.

— Do teatru z zasady nie chodzę, — oświadcza Norblin. — Opery nie uznaję. Natomiast kino nieme to miła rozrywka i chwila wytchnienia. Talkesy, to dotąd próby, które powinny odbywać się *w* laboratorjach i to przy drzwiach zamkniętych. Urlop spędzam najchętniej na szczerej, cichej wsi. Miejscowości kąpielowych i kuracyjnych nie potrzebuję i nie znoszę. Zagranica, konieczna dla zobaczenia szerszych horyzontów, to ciężka dla mnie praca.

— Zakupy to prawdziwa dla mnie męka, — mówi Norblin. — Chciałbym móc tak się urządzać, jak nieboszczyk ś. p. Karol ks. Radziwiłł „Panie Kochanku", który, według wersji puszczonej przez Adę Nowaczyńskiego, nabywał cały sklep, tłomacząc, że łatwiej jest wyrzucić za okno rzeczy zbyteczne, niż wybierać potrzebne.

Mieszkanie Mistrza, mieszczące się na piątem piętrze nowoczesnego domu, składa się z przedpokoju, jednego pokoju i widnej dużej pracowni. Umeblowanie skromne, nieco antyków rodzinnych. Obrazy Jana Piotra (mistrza Orłowskiego), Sebastjana, wreszcie Stefana Norblinów — kółko rodzinne. Porządek i czystość idealne. Bibljoteka składa się, poza tysiącami nowalji, z dzieł historycznych, pamiętników i publikacyj fachowych. Na stole „Świat", „Saturday Evening Post", „Ladies Home Journal" oraz „Photoplay". Gazety dwie — nieodzowny „Kurjer Warszawski" i niezastąpiony „Temps".

Ż.

Magdalena Samozwaniec

Na prośbę Redakcji „Świata" Magdalena Samozwaniec skreśliła odpowiedź na naszą ankietę:

Odpowiadając na pierwsze pytanie ankiety, muszę się przyznać, że mieszkam „przy rodzinie" i to własnej, gdzie jestem od rana do wieczora traktowana, że tak powiem, „z waszecia". Gdy się naprzykład komuś z rodziny pokaże własny feljeton, z którego się jest mniej więcej zadowolonym, ów ktoś z rodziny, odkładając z niechęcią francuską książkę, którą właśnie czytał, powie po pobieżnem przejrzeniu feljetonu: „Wszystko dobrze, ale „śruba" nie pisze się przez „ó" tylko przez „u". — Tak powie rodzinna osoba, jeśli feljetonu nie da się skrytykować, jeśli zaś, nie daj Boże, artykulik jej się nie podoba, to docinkom i dogryzkom niema końca, słyszy się, że się jest „pieniaczem rentowym" i inne miłe rzeczy przez cały tydzień. Pokoik, w którym mieszka „wielki człowiek", o ile ma szczęście mieszkać przy rodzinie, jest zwykle najgorszy i najciemniejszy z całego mieszkania. Gdy się niebacznie wyrazi chęć posiadania obszernego biurka do pisania, słyszy się takie zdanie: „Do pisania twoich bzdur wystarczy ci zwyczajny stolik; jak się nauczysz pisać porządnie, to pomyślimy o biurku dla ciebie".

Rzekomy „wielki człowiek", o ile należy do „POLPECHU", to pełen jest najrozmaitszych przesą-

dów: śpi, tk jak ja naprzykład, na starej niewygodnej kanapie, która dawno już wykopała pod człowiekiem dołek, a która zapada się przy bujniejszych snach. Przesąd spania na tej „madejowej" kanapie polega na tem, że jest ona tak niewygodna, iż w żaden sposób nie można na niej chorować dłużej niż jeden dzień, a o pożegnaniu się na



MAGDALENA SAMOZWANIEC

niej z „tym światem" niema wogóle mowy. Mieszkając w Krakowie przy rodzinie i mając dostęp do łoża, napewno umarłoby się młodo.

Co do motywów zwierzęcych i kwiatowych w mojem życiu, to muszę się przyznać, że nasza małpka Molly, brudas zresztą pierwszej klasy, wzbudza we mnie całą „gamę" uczuć najszlachetniejszego rodzaju; jest to najczystsze uczucie z obydwóch stron (chociaż jak zaznaczyłam Molcia jest pierwszorzędnym niechlujkiem). Odejmuję sobie od ust pestki i owoce, żeby tylko zaspokoić jej nieustającą żarłoczność. Żarłoczność mojej drogiej dzieciny nie ogranicza się tylko do zjadania owoców i kanarków, lubi ona także przegryzać znajomym żyły; kiedyś z jej winy popłynęła w naszym domu zimna krew lotnicza. Ale kocha się podobno nietylko za zalety, ale także za wady! W każdym razie twórczość moja ucierpiałaby znacznie, gdyby tego zwierzęcia zabrakło w domu.

Do kina chodzę prawie codzień, żeby odetchnąć prawdziwie „ludzką" atmosferą, filmów amerykańskich dźwiękowych unikam, bo przeszkadzają człowiekowi w poobiedniej drzemce, a przecież nie jest się z kamienia i lubi się w kinie spać. Jedynie filmy, które nie pobudzają mnie do snu, to rysowane dźwiękowe filmy Fleichera. Ze sportów „przemawia" do mnie najbardziej sport wodny. Wprawdzie jest to mowa trochę bełkotliwa, ale ją doskonale rozumiem. Ranek mój zatem składa się przeważnie z wody w krakowskim basenie Y. M. C. A., gdzie męczę się bez granic, żeby naśladować harmonijne ruchy rekordzistki pływaczki Krysi N. Ale nie każdy może być Krysią, i daleko jest trudniej basen kilka razy przepłynąć crawlem, niż książkę napisać, Krysia dobrze o tem wie i patrzy na mnie z pod wody zwilgotniałem okiem z lekką pogardą, jak ryba na płynącego psa. Ostatnie pytanie ankiety jest krótkie, wymowne, a węzłowate: *Kuchnia?* Natura ciągnie zwykle człowieka do kuchni, ale kucharki bardzo tego nie lubią. Przytem jest to także jedyne miejsce, gdzie można zobaczyć człowieka, bo zawsze w kuchni czeka na panią „człowiek" z rachunkiem. Pozatem używam tylko potraw jarskich z myślą o starości, żeby będąc podeszłą w latach zyskać zaszczytny przydomek „starej, ale jarej", (ponieważ będąc młodą nie można zdaje się być jarą"). Zresztą rzeźka staruszka siwa ale żywa, z laseczką, prawnuczką na plecach była zawsze moim niedoścignionym ideałem.

R.

Marja Malicka

Pupilka i ulubienica losu, najmilsza artystka polska młodego pokolenia, *Marja Malicka* od roku jest najszczęśliwszą małżonką — znanego aktora filmowego, Zbyszka Sawana (Nowakowskiego).

Fakt ten podziałał decydująco nietylko na psychikę pani Marysi, na jej nastawienie wobec świata i ludzi, lecz i na tryb jej życia.

— Wszystko się tu zmieni — mówi z zapałem — Zbyszko mnie namówił (tu rzucone najczulsze spojrzenie w stronę męża), by wszystko zmienić na nowoczesne... Robi nam więc Załęski modern meble, wśród obrazów przeważać będzie Stryjeńska, aczkolwiek moich ulubionych Żmurków zostawię oczywiście, zarówno jak i przepiękne minjatury Kazimiery Dąbrowskiej i t. d.

— Co pani czytuje?

— France'a, Żeromskiego, Shawa, Boya, Lechonia, Goetla, Tuwima...

— Czy mam zwierzęta i kwiaty? Zwierzęta ubóstwiam, dlatego ich nie mam, bobym musiała mieć całą menażerję. Żyję wśród palm i kaktusów.

— Mój tryb życia? Wstaję za wcześnie, kładę się spać za późno, nie odpoczywam wcale — za dużo mam roboty: kino i teatr pochłaniają mnie.

— Czytuję „Świat", dzienniki, „Ilustration", pisma teatralne i filmowe. Na operę nie chodzę nigdy, mam gramofon z pięknemi płytami, do teatru chodzę z przyjemnością, do kina — namiętnie.

— Ze sportów uprawiam konną jazdę, jazdę samochodową (ileż razy prowadziłam auto w czasie naszych wędrówek po Europie!), wiosłowanie (jestem członkinią

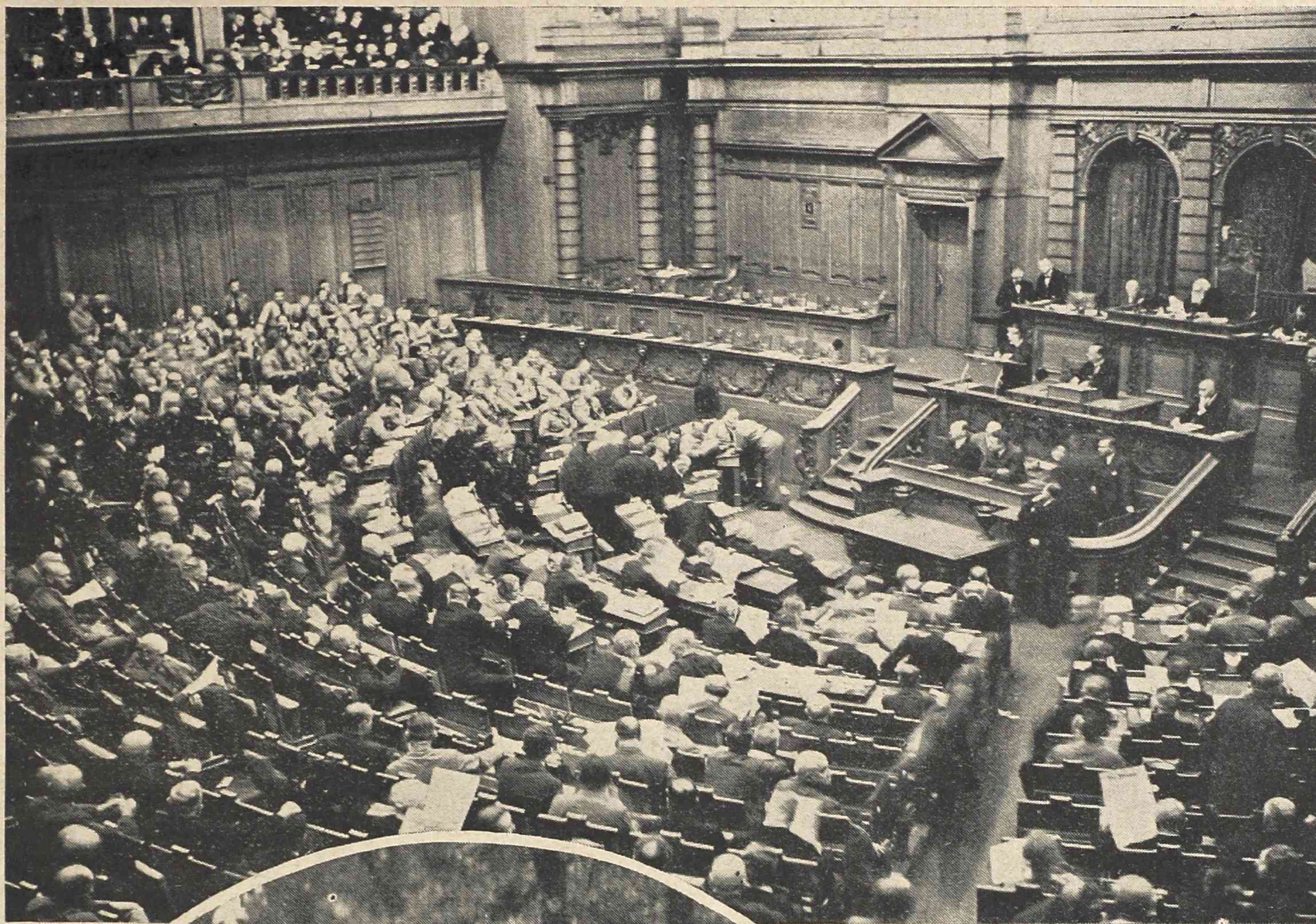


MARJA MALICKA, JAKO MARYNARZ

wojskowego klubu pływackiego!), dobrze strzelam.

— Co do kuchni, to wraz z mężem uznaję wyłącznie dobrą polską kuchnię, lubię jeść mało a dobrze, przytem do kuchni przywiązuję dużą wagę, tak, że Zbyszko twierdzi, iż to najlepiej utrzymany pokój w całem naszem mieszkaniu...

S.



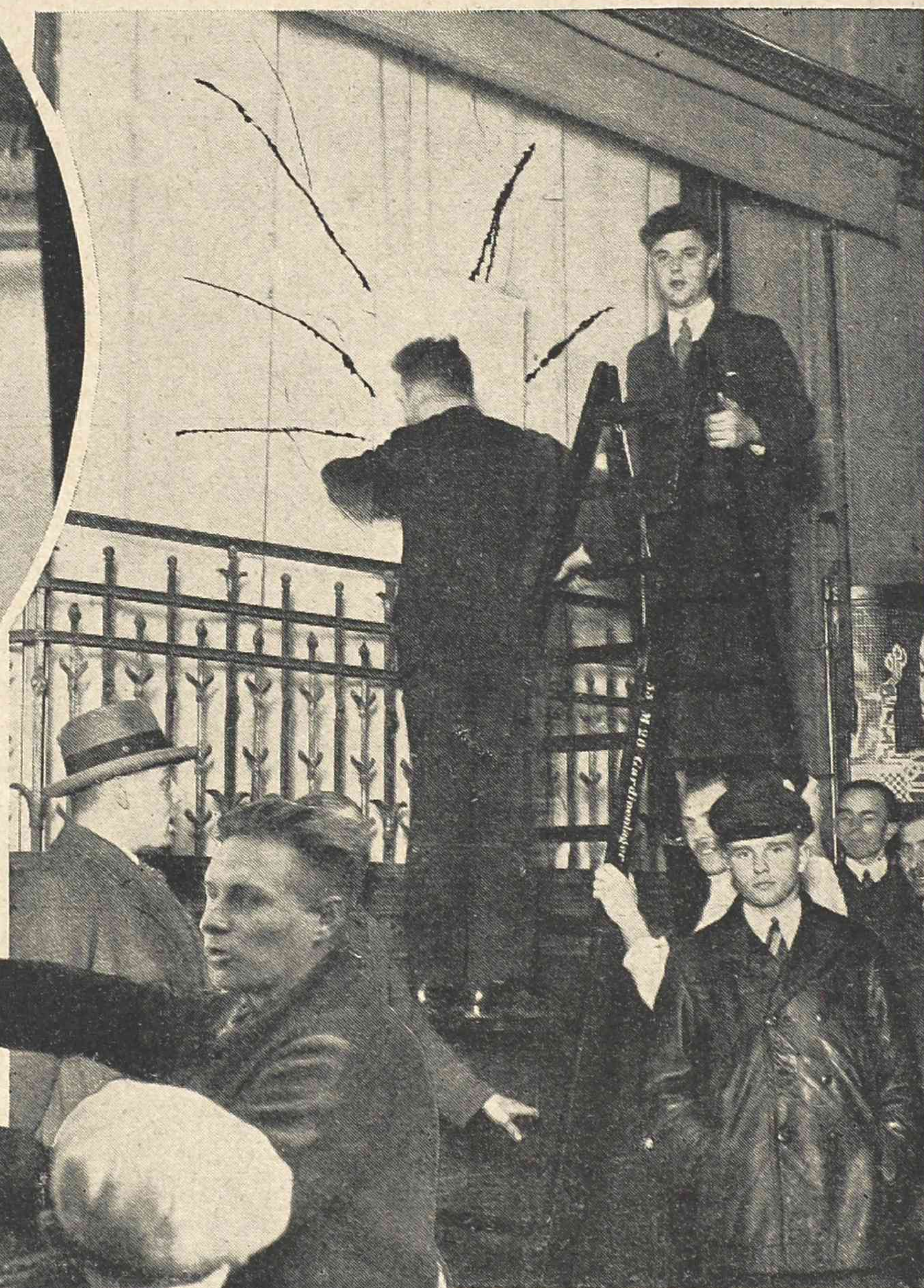
Burzliwe otwarcie Sejmu Rzeszy berlińskiego w dniu 13 b. m.

Fot. The New-York Times

Parlament niemiecki w dn. 13 b. m.: posiedzenie przerwano wskutek tumultu



Policjant goni agitatora Hitlerowskiego



Porozbijane szyby na Leipzigerstrasse podczas walk Hitlerowców z komunistami



Agitator komunistyczny przed budynkiem parlamentu



(old.) Wielkie wrażenie wywołała wiadomość o dymisji prezesa Najwyższej Izby Kontroli, prof. St. Wróblewskiego. Jest to instytucja, której utrzymanie na stopie zupełnej niezależności i objektywizmu decyduje o stosunku obywateli do skarbu i o zaufaniu zagranicy do samego państwa. Któż bowiem zechce udzielić pożyczki i kto chętnie wpłaci podatki, jeśli nie będzie miał pewności, że pieniądze jego pójdą na właściwy cel. A tylko kontrola daje taką gwarancję. To też kontrolerzy państwowi obdarzeni są na wzór sędziów niezawisłością, nie mogą być przenoszeni ani spensjonowani bez własnej zgody.

Te formalne uprawnienia nie są jednak dostateczne. Potrzebne są jeszcze pewne właściwości charakteru: bezstronność, niezależność sądu, odwaga cywilna. Cechy te wyrabiają się w pewnych zawodach, npz. u profesorów uniwersytetów. Dlatego p. Wróblewski tak godnie mógł przewodniczyć Izbie Kontroli. Natomiast środowiska, w których za cnotę uważana jest subordynacja, karność i posłuszeństwo wobec przełożonych, nie mogą dostarczać odpowiednich kandydatów na kierowników kontroli państwowej.

. . . .

(old.) Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej przygotowało obszerny projekt ustawy o zespolonych ubezpieczeniach społecznych i wydało go drukiem. Partje robotnicze, oddawna domagające się tego projektu, prą do ogłoszenia go w formie rozporządzenia p. Prezydenta Rzeczypospolitej.

Tymczasem ministrowie, reprezentujący resorty gospodarcze, opierają się wprowadzaniu dziś nowych ustaw ubezpieczonych. Już i tak przemysł nasz ugina się pod ciężarem świadczeń socjalnych. Jeśli do ubezpieczenia od choroby, nieszczęśliwych wypadków, bezrobocia, przybędzie jeszcze asekuracja na starość i na wypadek inwalidztwa, żadne przedsiębiorstwo tego nie wytrzyma.

To też projekt Ministerstwa Pracy powędrował narazie pod zielone sukno. Ale związki robotnicze, sympatyzujące z rządem, postanowiły go stamtąd wyciągnąć. Zebrały więc 25 tysięcy podpisów pod petycją w tej sprawie i złożyły ją w Prezydjum Rady Ministrów i w Ministerstwie Pracy.

To chciałoby pójść na rękę robotnikom, a boi się. I przytem, jakby na złość, przeprowadziło się do pałacyku Dekerta przy ul. Długiej, zwanego „Pod Czterema Wiatrami".

I zgaduj tu teraz, skąd wiatr wieje?

. . . .

(wig.) Na terenie partyjnym zachodzi w Polsce charakterystyczne zjawisko, niespotykane gdzieindziej. Pod jedną i tą samą nazwą występują stronnictwa polityczne, które nie mają ze sobą nic wspólnego, a nawet zwalczają się zaciekle. Mamy więc trzy P. P. S., dwa P. S. L., dwa Stronnictwa Chłopskie, a także wśród mniejszości narodowych dwa Selroby, dwa Poalej Siony i kilka innych sionizmów. W stronnictwach powstają coraz nowe rozłamy i ilość organizacyj partyjnych mnoży się w nieskończoność.

A mimo tego pozornego drobienia się znać w społeczeństwie polskiem tendencję konsolidacyjną. Ujawniło się to przy obecnych wyborach. Do Sejmu zgłoszono 20 list państwowych, gdy przed dwoma laty było ich 34. Zanik prądów odśrodkowych wystąpił zresztą tylko w społeczeństwie polskiem, u obcoplemieńców widzimy przeciwne zjawisko. Niegdyś istniał wielki blok mniejszościowy, do którego należeli Niemcy, Żydzi, Ukraińcy i Białorusini. Teraz jeszcze tylko narodowcy białoruscy trzymają się Ukraińców. Niemcy idą osobno, a Żydzi rozbili się na 5 list. Pod pięcioma też firmami wystąpili komuniści.

Polacy natomiast, którzy w poprzednich wyborach wystawiali po kilkanaście list, teraz skupili się przy sześciu. Zresztą tylko 3 z nich mają większe szanse: Bezpartyjny Blok rządowy (Nr. 1), Stronnictwo Narodowe (Nr. 4) i Centrolew (Nr. 7); trzy inne posiadają jedynie posiłkowe znaczenie: Frakcja Rewolucyjna P. P. S., Katolicki Blok Ludowy, będący ekspozyturą Ch. D. i Organizacja Monarchistyczna.

Jak widzimy, społeczeństwo nasze będzie teraz miało ułatwione zadanie; nie potrzebuje badać odcieni; wystarczy rozróżnianie barw zasadniczych.

Ma to swą dobrą stronę: uszeregujе nas według wielkich problemów, a nie drobnych różnic. Ale pociąga też dalszą konsekwencję: unicestwia rację bytu systemu proporcjonalnego. Gdy znika możność dobrania sobie listy, całkowicie odpowiadającej przekonaniom własnym i pozostaje tylko wskazanie najogólniejszego kierunku, lepiej przejść do głosowania na konkretne osoby w jednomandatowych okręgach, niż utrzymywać pstrokaciznę list.

Wielkie bloki wyborcze zabijają proporcjonalność.

. . . .

Otwarcie nowego Sejmu Rzeszy w Berlinie było bardzo ożywione. Hitlerowcy nadali uroczystemu assamblowi kolorytu, przybyli bowiem przeważnie w nader malowniczych i barwnych kostjumach. Komuniści dołożyli starań, by nikt się nie nudził. Już przed gmachem parlamentu rozpoczęli bójki ze zwolennikami pp. Hitlera i Hugenberga. Walono się kijami, strzelanina powtarzała się często. W sali obrad skłócone obozy wygrażały sobie pięściami, wykrzykując bogaty repertuar wyzwisk i obelg. Zaś ofiarą tych domowych porachunków padli jak zwykle żydzi. Pewne grupy hitlerowców skorzystały z tego, że znaczna część policji berlińskiej skonsygnowaną została koło gmachu sejmowego i przypuściły w śródmieściu szturm do magazynów i kawiarni, należących do żydów.

We Francji nastąpiło nareszcie zupełnie otrzeźwienie w stosunku do Niemiec. Obrady w Izbie Deputowanych o stosunku do Niemiec zapowiadają się nader gorąco, zwłaszcza że interpelację wnosi znawca tych spraw i doskonały mówca, p. Franclin - Bouillon. *Mieux vaut tard que jamais.*

. . . .

(z.). Państwa bałkańskie szykują nam miłą niespodziankę.

Osławiony kocioł bałkański, który był przyczyną niejednej wojny a przedewszystkiem wojny światowej, ma przestać być źródłem wiecznych niepokojów i ciągłych zamieszek: współżycie państw bałkańskich ma zostać oparte na nowych zasadach.

Dyskutowany obecnie projekt federacji bałkańskiej przedstawia się jak następuje: Konferencja Bałkańska, nawiązując do życzeń narodów bałkańskich i mając na względzie ich wolę do utrwalenia bytu narodowego i niepodległości politycznej, aprobuje gorąco ideę Unji Bałkańskiej, dzięki której zostaną położone podwaliny dobrobytu tych narodów. Unja ma nosić charakter ugrupowania narodów niezależnych. Nie będzie narażać na szwank suwerenności państw uczestniczących ani zmierzać do tłumienia ich odrębności etnicznych. Celem jej ma być utrwalanie wśród nich pokoju. Unja Bałkańska ma powstać w myśl wskazań i zasad Ligi Narodów.

Dla powodzenia tego celu Konferencja zwraca się z apelem do narodów bałkańskich i w szczególności do ich kół kierowniczych, by puściły w niepamięć dawne spory.

Projekt ma pewne szanse realizacji. Etapami ma być wprowadzenie porozumienia kolejowego, ujednostajnienie ustawodawstwa społecznego, unia monetarna pocztowa i t. p.

. . . .

(*k*) Dnia 9 października otwarto w Poznaniu, w gmachu Bibl. Raczyńskich tusculum Jana Kasprowicza. Z Harendy pod Zakopanem, umiłowanej siedziby wielkiego poety, przeniesiono jego bibljotekę i odtworzono ją w najdrobniejszym szczególe tak, jak wyglądała za jego życia; ten sam stół, na którym urodziła się „Księga ubogich", te same krzesła; w rogu, o szafy bibljoteczne oparty stoi zmurszały drewniany świątek, biedaczyna, niemy towarzysz wielkości, zadumany o wielkiem cierpieniu. Poznań będzie ze wzruszeniem oglądał tę zakopiańską świetlicę, w której tworzył jeden z największych poetów świata, z poznańskiej wywodzący się ziemi. Ze strony wielkopolskiej stolicy jest to czyn piękny.

. . . .

(*alfa.*) Śród listów, jakie otrzymaliśmy z powodu naszej glossy o pięciu operach w Polsce, wybieramy do dyskusji jeden. Napisał go p. inżynier A. Wolski, który upomina się o honor naszych oper prowincjonalnych. Sz. autor listu zapewnia, że „na najniższym poziomie stoi opera warszawska, która porównania nawet z lwowską i poznańską nie wytrzymuje", jak świadczy o tem wykonanie „Casanowy" Różyckiego na obu tych scenach. Warszawskiej opery „nawet operą nazwać nie można"; jest ona wprost „kompromitacją wobec odwiedzających Warszawę cudzoziemców".

Ta opinja jednego z melomanów nie obroni, oczywiście, racji istnienia w Polsce aż pięciu oper; natomiast cenną jest dlatego, iż stanowi poważny „głos publiczności" o gospodarce w operze stołecznej.

Dlaczego opera warszawska zeszła do tak niskiego poziomu? Główną przyczyną tego upadku jest szczególna opieka nad teatrami ze strony władz municypalnych. Od kilkunastu lat, t. j. od chwili przejęcia teatrów przez gminę, magistrat co roku zapowiada zamknięcie Opery z powodu nadmiernych deficytów. Nieustanne pogróżki o zamknięciu opery wytwarzały stan *tymczasowości*, która nie pozwalała na planową i systematyczną pracę artystyczną. Doprowadziwszy operę do ruiny, magistrat zaczął przekonywać rząd, że jego obowiązkiem jest pokrywać niedobory „reprezentacyjnej sceny". W tym sezonie opieka gminy nad Operą doszła już do ostatniego stopnia absurdu: nie zaangażowano dyrektora i postanowiono w nowym budżecie (od kwietnia) przewidzieć tylko trzymiesięczne subsydjum dla opery. Ma to być ostatnia próba nacisku na rząd.

Tymczasem prof. F. Szopski przypomniał w doskonałym artykule, że narzekania gminy na niedobory opery nie mają podstawy. Miasto przejęło swego czasu od władz moskiewskich podatek t. zw. „szóstej części", który szedł na pokrycie niedoborów teatrów „rządowych. Haracz ten miasto zamieniło na „podatek od widowisk", ale dochody z tego źródła (wynoszące kilka razy więcej, niż deficyty teatrów miejskich) przeniosło do ogólnej kasy miejskiej. Kwestjonowanie tej zamiany było i jest zawsze dla magistratu niemiłe. Słyszy się zawsze w tej sprawie odpowiedź: „to jest zupełnie co innego".

Przypuszczamy, że chwila zamknięcia Opery w dn. 31 sierpnia roku przyszłego i pertraktacje z rządem przekonają magistrat, że to nie jest „co innego". Rząd może zażądać wówczas od gminy: 1) zwrotu pobranych sum podatku od widowisk (czyli „szóstej części"); 2) czynszu za używanie kostjumów i rekwizytów i odszkodowania za dewastację ruchomego majątku rządowego w teatrach; 3) pobranego czynszu z rządowego „domu dochodowego" przy ul. Trębackiej № 10. Z sum, odebranych tą drogą, rząd mógłby zorganizować i prowadzić znakomitą operę przez długi szereg lat.

. . . .

(s.). W ubiegłym tygodniu odbyła się inauguracja roku akademickiego w Wyższej Szkole Zagranicznej. Zebraniu przewodniczył ... hr. Dzieduszycki, prezes Rady Opiekuńczej.

P. Wincenty Trzebiński, jeden z najwytrawniejszych naszych dziennikarzy, w doskonałem przemówieniu zobrazował trudności, z jakiemi musi walczyć szkoła. Dla wielu ludzi dziennikarstwo nie jest jeszcze ustalonym zawodem, wymagającym fachowego przygotowania, lecz jakby schronieniem dla tych, którzy nigdzie indziej nie mogli znaleźć dla siebie miejsca. Ten pogląd na Zachodzie Europy i w Ameryce Północnej został całkowicie obalony. Wszędzie tam istnieją i powstają wyższe uczelnie, kształcące młodzież w zawodzie dziennikarskim.

Nieufność, jaką w pewnych kołach budzi nasza Wyższa Szkoła Dziennikarska przypomina stosunek sfer kupieckich i przemysłowych do szkół handlowych, kiedy je, przed pół wiekiem zaczynano zakładać. Konserwatyzm ówczesnych pracodawców wzbraniał się uwierzyć w ich pożytek.

— Najlepsza szkoła handlowa, mawiał jeden ze znanych kupców, to kantor. Niech młody kandydat zaczyna termin od zamiatania podłóg, od kopjowania listów i nalepiania marek na kopertach. Praktyka w handlu jest ważniejsza od teorji.

A praktyka właśnie ostatnich dziesiątków lat dowiodła, jak błędne były te zapatrywania. Sieć szkół handlowych obejmuje dziś wszystkie kraje kulturalne. Zapewne i w stosunku do szkół Dziennikarskich rychło nastąpi podobny zwrot opinji.

Dyr. Łunińskiemu, który stoi na czele Szkoły Warszawskiej i doświadczonym profesorom, którzy z wielką ofiarnością pracują nad wychowaniem świeżych zastępów dziennikarskich w Polsce, należy życzyć, aby ich wysiłki jak najrychlej przezwyciężyły dotychczasową obojętność ogółu.

ZE ŚWIATA



B. Prezydent Stanów Zjednoczonych A P. Calvin Coolidge w swej rezydencji letniej. Artykuły Coolidge'a przynoszą mu 125.000 dolarów rocznego dochodu. Photo-Plat

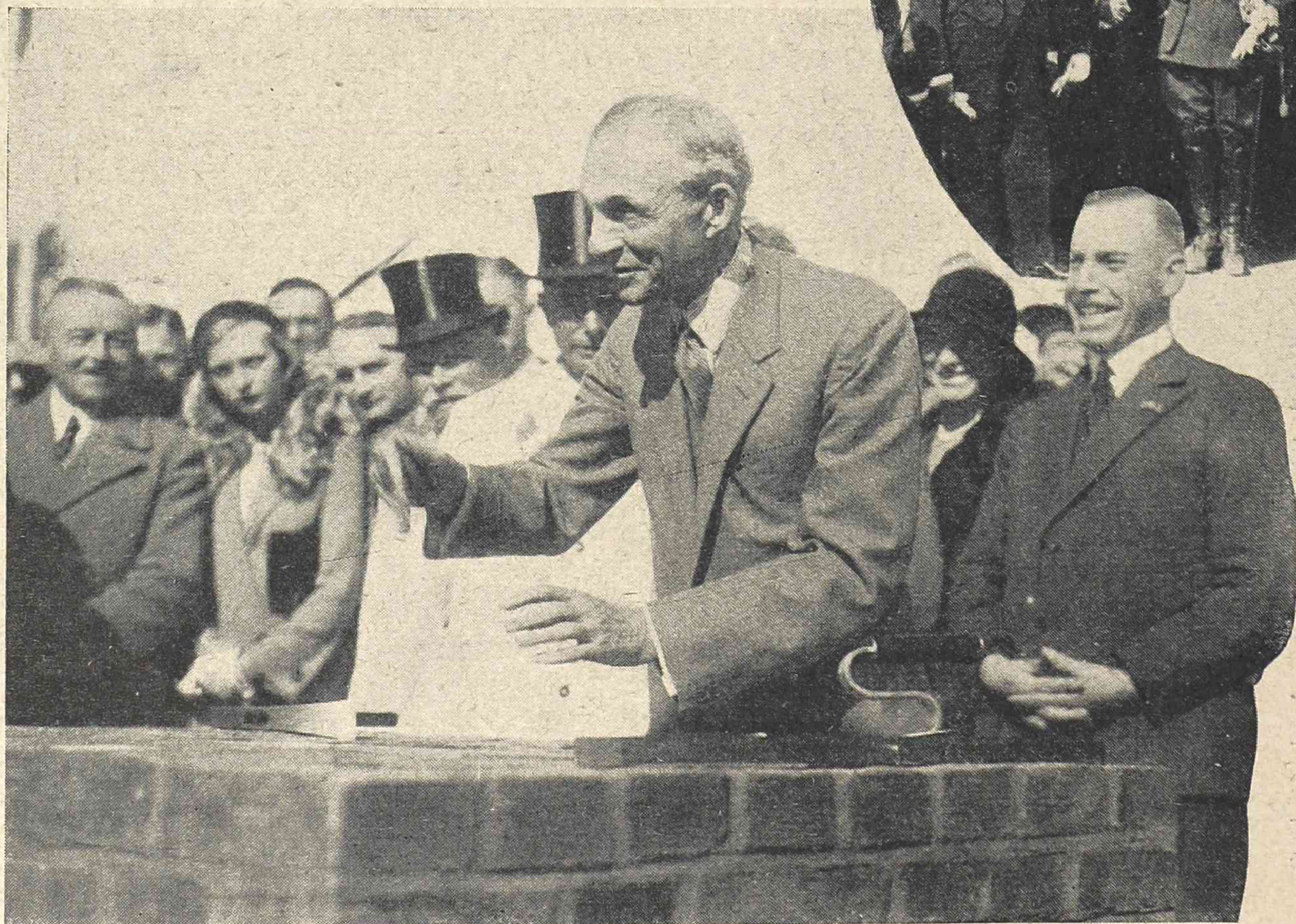
83-letni generał Hindenburg, Prezydent Rzeszy Niemieckiej, podczas rannej przechadzki w górskiej miejscowości bawarskiej Dietramszell

Fot. The New York Times



Król Karol Rumuński przyjmuje w otoczeniu dostojników państwowych paradę wojskową

Fot. The New York Times

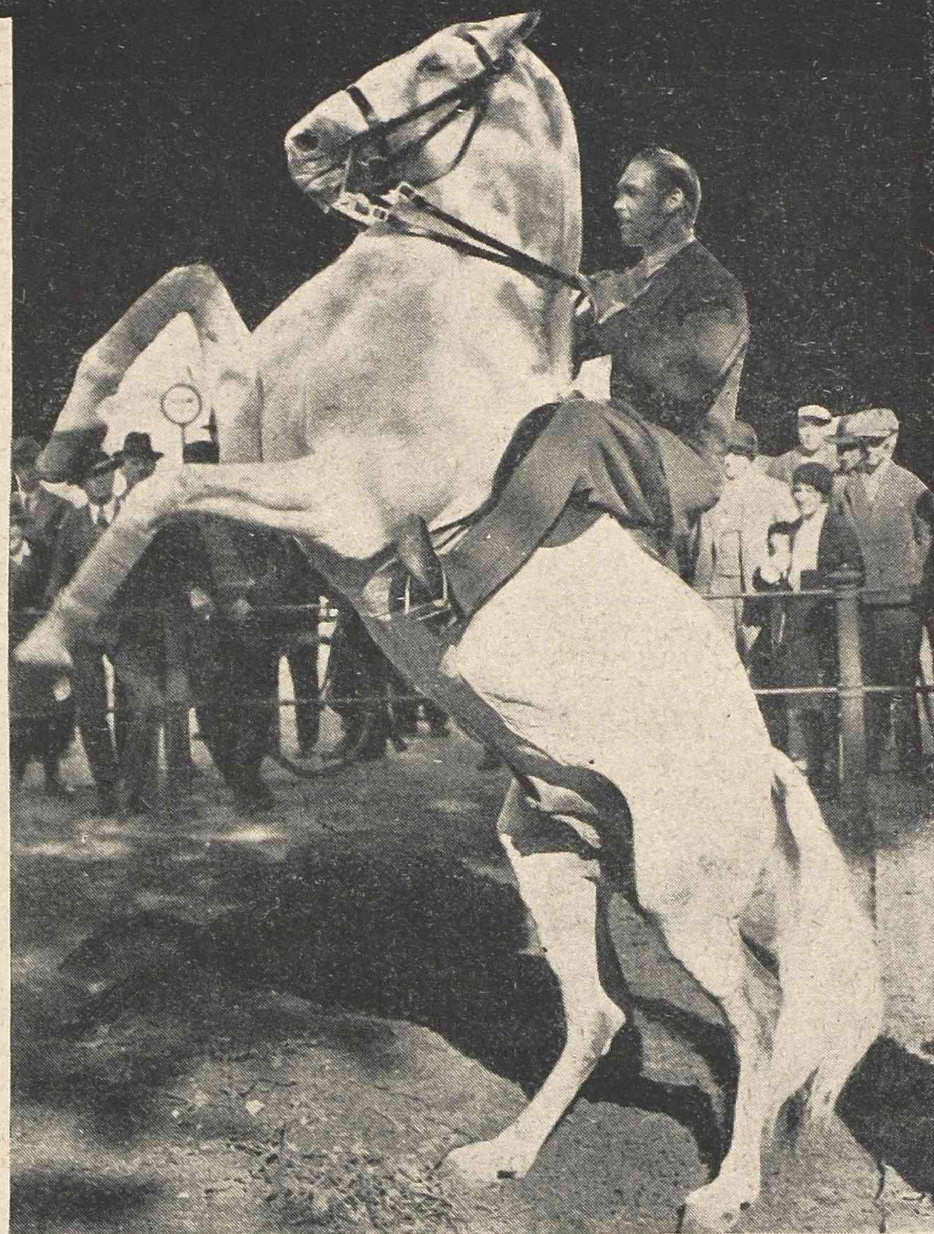


Henryk Ford kładzie kanień węgielny swej nowej fabryki samochodów w Kolonji

Angielski huzar na popisach hippicznych demonstruje skok przez łóżko

Znany hiszpański jeździec Moeser José pokazuje swoje brawurowe popisy

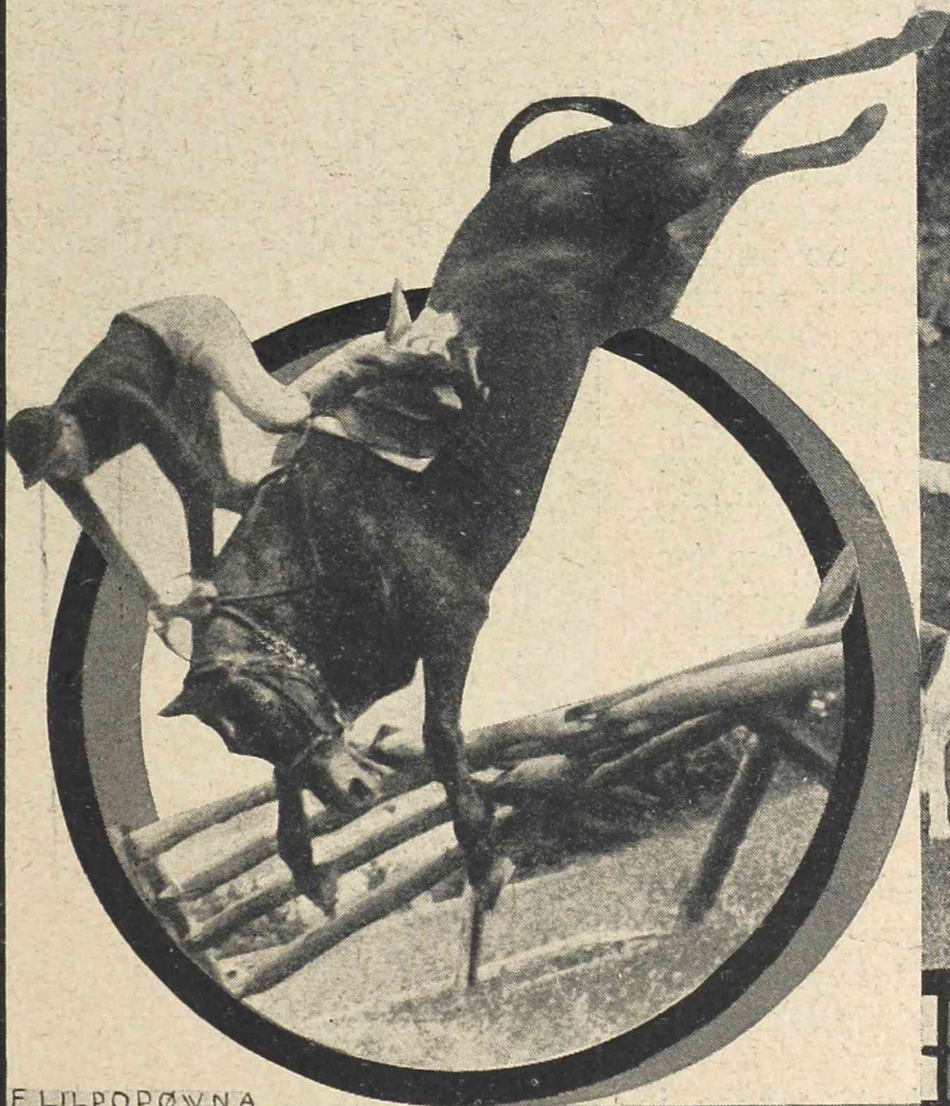




Jockey Burton Crawford na koniu „Gay Boy“ wywołuje zawsze popisami swemi zachwyt

Fot. The New York Times

Polowanie par-force: pobudka





BRAZKI KAWALERYJSKIE

PREMJERA OPER AD. WIENIAWSKIEGO „MEGAE“ I „WYZWOLONY“ WE LWOWIE, 4 PAŹDZIERN. R. B. Z OKAZJI 30-LECIA TEATRU WIELKIEGO



Z DOŁU DO GÓRY: KAPELM. M. ZUNA, KOMPOZYTOR ADAM WIENIAWSKI, KAPELM. E. MASSINI, DYR. S. CZAPELSKI, DYR. Z. ZALESKI, ART. MAL. JAROCKI I INŻ. UŁUCHANOW

„Młody las“ J. A. Hertza w Teatrze Narodowym

Nasza literatura, czerpiąca tematy z życia polskiego w b. Królestwie Kongresowem w okresie popowstaniowym, jest bardzo jednostronna. Zarówno powieściopisarze, jak bardziej jeszcze autorzy dramatyczni, krępowani byli bez miłosierdzia przez cenzurę rosyjską. Jeśli pisarz chciał się wypowiedzieć szczerze, musiał drukować swe książki w Krakowie. W Królestwie stanowiły one literaturę tajną, autor narażał się na niebezpieczeństwa surowych nieraz represji. Więc choć sztuka wyrażania myśli i uczuć między wierszami sięgnęła w tych czasach w zaborze rosyjskim szczytów doskonałości, choć wielkie talenty, mimo tych skrępowań, tworzyły arcydzieła „na pokrzepienie serc“ rodaków, najważniejsze zagadnienia życia narodowego i społecznego były dla powieści i teatru niedostępne.

Stosunek Polaków do władz rosyjskich był przecież osią, koło której obracało się jedno z większych kół ówczesnego życia polskiego. Z tą władzą rosyjską — i z jej przedstawicielami — spotykał się Polak od bardzo wczesnych lat, — od chwili, kiedy przekraczał progi szkoły. Potem, miał już z niemi ciągle do czynienia, nawet jeśli poświęcił się najbardziej niezależnym od sfer urzędowych zajęciom. Rosjanie byli w towarzystwie polskiem na indeksie. Tylko w pewnym, nader zresztą szczupłym odłamie arystokracji tolerowano dygnitarzy rosyjskich, jeśli zwłaszcza posiadali dworskie rangi. To były wszakże bardzo nieliczne wyjątki.

Rosjanin nie był dopuszczany do domów polskich, i jako złośliwy pasożyt, wystawiony po za nawias życia polskiego. Zdarzały się przecież rzadkie wypadki, kiedy młody urzędnik lub oficer ulegał głębszemu uczuciu w stosunku do jakiejś polki. Powstawały na tem tle tragiczne konflikty...

Okres ten życia polskiego, od upadku powstania do wybuchu wojny światowej, pozostaje niewyczerpaną studnią tematów literackich.

W teatrze, obok paru utworów Zapolskiej, jedną z najciekawszych sztuk, na tem tle osnutych, jest niewątpliwie „Młody las“ J. A. Hertza, wystawiony po raz pierwszy w Rozmaitościach w 1915 r., a obecnie w Teatrze Narodowym wznowiony.

„Młody las“, to polska młodzież szkolna, walcząca o swoją godność i o swoje prawa z potężnym caratem, który reprezentują gimnazjalne kacyki rosyjskie.

Sztuka napisana jest gorąco i serdecznie. Piórem kierowało szczere i szlachetne uczucie. Nad kompozycją i rysunkiem postaci czuwał talent urodzonego pisarza teatralnego. Miłość prawdy, która tkwi w Hertzu, sprawiła, że potrafił uniknąć jaskrawości, że rozłożył barwy sprawiedliwie, umiejąc odnaleźć cechy dodatnie i ludzkie nawet w przybyszach z Moskwy.

„Młody las“ jest dzisiaj epizodem martyrologji polskiej, głęboko odczutym, a teatralnie z wielką zręcznością ujętym.

Emocjonalna bezpośredniość sztuki i tym razem nie zawiodła. Wzruszenie, w którem autor tworzył „Młody las“, udziela się i teraz publiczności, choć karta dziejów odwróciła się radykalnie. Wznowienie było tryumfem Hertza. Dopomógł mu doskonały i tym razem zespół artystów oraz świetna reżyserja. Józef Chmieliński, Justjan i Bednarczyk górują nad otoczeniem, w którem zresztą niema najlżejszego zgrzytu. „Młody las“ jest jednem z najudatniejszych przedstawień, jakie w ostatnich czasach widzieliśmy w Teatrze Narodowym.

Stef. Krz.

TEATR „QUI PRO QUO“

NOWA GWIAZDA KABARETOWA



P. MARJA MODZELEWSKA Fot. Brzozowski

Szlakiem Dziesiątej Muzy

(Milton Sills nie żyje — Niech żyje film niemy! — Filharmonja zaniemówiła — Student ze Stokholmu — Król żebraków — „Noc listopadowa" — Konkurs — Otwarcie Majesticu)

Żałobną wieścią rozpocząć wypada feljeton dzisiejszy... Po Schildkraucie i Lon Chaney'u nowy cios, nowa strata, nowa żałoba w świecie ekranu: umarł Milton Sills...

„Stuprocentowy mężczyzna", pełen sił, pełen energji, mający jeszcze długie lata życia przed sobą, idealny kochanek z tego gatunku, który kojarzyć umie siłę ze słodyczą—nie żyje i nigdy już nie będziemy oglądali jego niepięknej może, ale jakże interesującej twarzy, tak wyrazistej i pociągającej...

Siła Miltona Sillsa, siła duchowa — jednała mu przyjaciół i wielbicieli. Odczuwało się tę siłę, promieniowała ona z ekranu. Milton Sills był gentlemanem w każdym calu nawet wówczas, gdy grał role nie-gentlemanów. Był naprawdę tym rzadkim typem mężczyzny, o którym mówiono: to prawdziwy mężczyzna... Był przytem aktorem o dużej sile wyrazu. Talent jego o podkładzie charakterystycznym musiał się jednak naginać do sytuacji sentymentalnych, do scen nawskroś lirycznych. Dlatego Milton Sills był idealnym kochankiem tam, gdzie tego było potrzeba.

Warszawa poznała Miltona Sillsa z ekranu przed kilku laty i odrazu przypadł on do gustu publiczności naszej. Jakkolwiek oglądaliśmy go w długim szeregu filmów — najbardziej utrwaliła się w pamięci bywalców kina jego wspaniała kreacja w obrazie „Wyspa zatopionych okrętów".

Możeby „Hollywood" lub inne jakieś kino, które jeszcze — na szczęście — nie przemówiło, pomyślało o wznowieniu tego pięknego filmu z niezapomnianym Miltonem Sillsem, którego przecież już nigdy nie zobaczymy, ani nie usłyszymy w żadnym „dźwiękowcu"...

Gdy już mowa o filmach niemych — należy zaznaczyć, że i u nas „dźwiękowce" przestały olśniewać publiczność... Pierwsza moda minęła — i ryki, huki, wrzaski, wydobywające się z poza ekranu w skojarzeniu z „mową" bohaterów, której nikt nie rozumie najczęściej, może już wkrótce przestaną działać nam na nerwy... W samej Ameryce, gdzie przecież narodziła się idea „dźwiękowości", coraz więcej kin ozdabia swoje wystawy takiemi napisami: „Kino nieme. W orkiestrze żywi ludzie. Ceny podwyższone".

I publiczność chętnie płaci drożej za bilety, byle tylko módz rozkoszować się w milczeniu prawdziwą sztuką kinową.

U nas dyr. Juljusz Zagrodzki pierwszy zerwał krępujące pęta. Jego kinoteatr w „Filharmonji" wyświetla od dni paru film niemy. Jest to obraz osnuty na tle życia słynnej lady Hamilton i admirała Nelsona. Zrealizowany przez reż. Franka Lloyda w wykonaniu pierwszorzędnych sił z Corinną Grifith i Wiktorem Varkonyim na czele. Corinna Grifith czaruje swoją niepospolitą urodą, Varkonyi — bardzo ładnie gra Nelsona, zdjęcia doskonałe, niektóre sceny, jak scena śmierci Nelsona, wywierają wielkie wrażenie. Plenery prześliczne. Cały film pełen romantyzmu — pogłębia naszą tęsknotę za doskonałemi filmami niememi, których widzieliśmy tak wiele i budzi nadzieję, że nie będziemy już przynajmniej w Filharmonji oglądać wrzeszczących „talkies".

Kino miejskie, które niebawem ma przestać istnieć, ponieważ do teatru im. Bogusławskiego, gdzie się ono mieści obecnie, ma być przeniesiony teatr Letni—wyświetla bardzo ładny obraz szwedzki „Student ze Stockholmu". Stockholm, jak i cała Szwecja — jest bardzo fotogeniczny. Jest to jedno z najpiękniejszych miast Europy, tak jak Szwecja z mnóstwem swoich prześlicznych jezior, lasów i gór — jest jednym z najpiękniejszych krajów Europy. Dlatego z radością należy powitać odradzającą się produkcję filmową szwedzką, która da nam niewątpliwie możność oglądania jeszcze nieraz wielu pięknych filmów.

Kina „Palace" i „Pola Negri Palace" wyświetlają obecnie bardzo efektowny, barwny i zajmujący film dźwiękowy „Król żebraków". Jest to obraz z życia jakoby króla włóczęgów i genjalnego poety Franciszka Villone wysnuty, — fantazja jednak gra w tym obrazie większą rolę, niż prawda historyczna. Film jest zakrojony na wielką skalę, osiągnął też wielki sukces. Joanna Mac-Donald bardzo ładna, a Dens King — bardzo urodziwy o pięknej postawie i pięknym głosie.

Wytwórnia As-film przystępuje do realizacji swego 2-go filmu dźwiękowego. Będzie to zakrojony na większą skalę film historyczny p. t. „Noc Listopadowa" według scenarjusza znanego pisarza i scenarzysty p. Jerzego Brauna.

Setna rocznica powstania listopadowego czyni inicjatywę Asfilmu niezwykle aktualną. Będzie to pierwszy historyczny film dźwiękowy, osnuty na tle naszej bohaterskiej przeszłości. Prace organizacyjne już się rozpoczęły. Kompletowanie obsady aktorskiej w pełnym toku.

Jednocześnie rozstrzygnięto konkurs As-filmu na scenarjusz.

Sąd konkursowy w składzie pp.: Leo Belmont, red. J. Braun, red. L. Brun, red. T. Kończyc, red. M. J. Wielopolska i dyr. Juljan Zagrodzki, zebrawszy się dn. 30 września r. b. dla rozpatrzenia scenarjuszy nadesłanych na konkurs wytwórni As-Film, uznał, że żaden z nich nie zasługuje na pierwszą nagrodę, wobec czego postanowił podzielić nagrodę II-gą, w kwocie Zł. 300.— między scenarjusze „Dwoje Ludzi" (wg. powieści S. Perzyńskiego) i „W puszczy" (wg. powieści J. Weyssenhoffa), oraz nagrodę III-cią w kwocie Zł. 200.— pomiędzy prace zatytułowane „Nafta" i „Spowiedź Mężczyzny", zaznaczając, że wszystkie wyróżnione scenarjusze przedstawiają ogromne trudności dla realizacji.

Scenarjusz p. t. „Żałobnik", zasługujący ze względu na swój poziom literacki na specjalne wyróżnienie, nie mógł jednak być wzięty pod uwagę z powodu obcości tematu i tła.

Po rozpieczętowaniu kopert okazało się, że autorami wyróżnionych prac są: Zofja Dromlewiczowa („W puszczy"), Józef Drewnikowski („Dwoje Ludzi"), Adam Galis („Nafta") i Irena Vorel („Spowiedź Mężczyzny").

Nowe kino „Majestic", otwarte świeżo w gmachu dawnego „Wodewilu" — jest jednem z najpiękniejszych kin stolicy. Na otwarcie dano interesujący film „Nasza jest noc".

Tadeusz Kończyc

ODCZYT O FRANCJI



P. GEORGES OUDARD, WYBITNY LITERAT FRANCUSKI, AUTOR PIĘKNYCH KSIĄŻEK „LE PORTRAIT DE LA POLOGNE" I „LA POLONAISE", O KTÓRYCH „ŚWIAT" POMIEŚCIŁ NIEDAWNO ARTYKUŁY SPRAWOZDAWCZE, WYGŁOSI W WARSZAWIE D. 21 B. M. INTERESUJĄCY ODCZYT O POWOJENNEM ŻYCIU WE FRANCJI

Szkoła Wandy Landowskiej

Sekretarjat Szkoły Muzycznej Wandy Landowskiej podaje do wiadomości, że Wykłady o technice oraz lekcje prywatne — INTERPRETACJA MUZYKI XVII-go i XVIII-go STULECI NA KLAWESENIE NA FORTEPJANIE — pod osobistym kierunkiem Wandy Landowskiej zostają wznowione z d. 1-ym listopada r. b.

Kursy publiczne trwają od 1-ego Czerwca do 1-ego Października.

Szkoła Wandy Landowskiej znajduje się w Saint-Leu-La-Forêt, odległem o 25 m. jazdy koleją od Paryża. Bliższych informacyi udziela Sekretarjat, adres:

ECOLE WANDA LANDOWSKA à SAINT-LEU-LA-FORET SEINE ET OISE FRANCE.

WYSTAWA WSPÓŁCZESNEJ GRAFIKI POLSKIEJ W TOKIO



W czasie od 12 do 17 września r. b. odbyła się w Tokio wystawa współczesnej grafiki polskiej. Wystawa ta, urządzona z inicjatywy Poselstwa R. P. w Tokio, zrealizowana została przy pomocy Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych. Nadesłano 94 prace czternastu artystów polskich. (E. Bartłomiejczyk, W. Borowski, M. Duninówna, W. Goryńska, J. Konarska, B. Krasnodębska, T. Kulisiewicz, W. Lam, J. Pankiewicz, F. Siedlecki, W. Skoczylas, W. Wąsowicz, W. Weiss J. Wojnarski). Wystawa mieściła się w galerji Mitsukoshi.

Uroczystego otwarcia dokonał chargé d'affaires R. P., dr. Jan Fryling, wraz z prezesem Towarzystwa Polsko-Japońskiego, księciem K. Tokugawa. Na uroczystość przybyli między innymi: książę Asaka wraz z małżonką, córką cesarza Meiji, przedstawiciele sfer rządowych i dworskich, członkowie korpusu dyplomatycznego, reprezentanci kół politycznych, nauki, sztuki, członkowie Poselstwa Polskiego, towarzystwa polsko - japońskiego etc.

Wystawa posiada wielkie znaczenie propagandowe sztuki polskiej.

Tydzień gospodarczy

Fakt, że w ostatnich czasach zaobserwować można było pewną poprawę w szeregu gałęzi przemysłu, nasuwa pytanie, czy poprawa ta ma charakter perjodyczny, czy też bardziej długotrwały? Sądzimy, że ogólny kryzys światowy nie dozwala nam dać w tej materji absolutnie pozytywnej odpowiedzi, gdyż konjunktura światowa ma szczególny wpływ na gospodarstwo polskie. Oczywiście, że długotrwałością kryzysu nie rządzą żadne bliżej określone normy czasu. Jednak gotowi jesteśmy, tak jak p. C. P. w ostatnim zeszycie tyg. „Polska Gospodarcza", przypuszczać, że w Polsce mija obecnie kulminacyjne natężenie kryzysu. Istnieją nawet w Polsce gałęzie przemysłu, których kryzys już bezpośrednio nie dotyka. Przemysł włókienniczy jest właśnie w takiem położeniu. Klasycznym przykładem jest włókiennictwo w Białymstoku, w którym stan zatrudnienia oraz uruchomienia maszyn we wrześniu b. r. wykazał w stosunku do września 1929 r. wzrost o 150%. Równocześnie podkreślić należy, że obroty stały na poziomie obrotów roku ubiegłego, mimo eliminowania z warunków sprzedaży weksli długoterminowych, a dokonywania tranzakcyj wyłącznie za gotówkę i krótkie weksle.

Przyjmując chętnie, iż znajdujemy się obecnie poza momentem przełomowym kryzysu, ze szczególnem zadowoleniem czytamy w ostatnim zeszycie „Przeglądu Gospodarczego", iż kryzys „pozostawił dotąd nietknięte fundamenty naszego gospodarstwa narodowego". To oświadczenie jest szczególnie korzystnem świadectwem dla dotychczasowej naszej polityki gospodarczej. Znaczyłoby to, iż nasz przemysł potrafił wyjść obronną ręką z okresu tak ostrego kryzysu. Ze szczególnem też zainteresowaniem śledzić będziemy powrót do normalnych warunków gospodarczych. Jednak uprzytomnić sobie musimy, że nasz organizm gospodarczy, wyczerpany długotrwałą walką z kryzysem, będzie miał wyjątkowo trudną sytuację. W jakich zatem warunkach odbędzie się ten powrót i jak wielkie ofiary poniesie przy tem nasze gospodarstwo? Powrót do upragnionych przez wszystkich normalnych stosunków ekonomicznych, uzależniony będzie nietylko od polityki gospodarczej rządu.

Jest on ponadto w dużej zależności od dwuch niezmiernej wagi czynników:

1-o od normalizacji stosunków gospodarczych światowych,

2-o od odporności i siły charakteru samego społeczeństwa.

Wiara we własne siły i optymizm gospodarczy, to niezmiernie ważne elementy, by przejść z jaknajmniej bolesnemi stratami przez okres pokryzysowy. Okres ten będzie szczególnie niebezpieczny dla licznych przedsiębiorstw i instytucyj finansowych. Możemy być świadkami bankructw i upadłości zwłaszcza przedsiębiorstw rolniczych.

W większości wypadków będą oczywiście padały ofiarą okresu po - kryzysowego te instytucje, które w chwili zaczęcia się kryzysu nie posiadały dostatecznej odporności w postaci dobrej organizacji, czy odpowiednich rezerw finansowych.

Społeczeństwa „wychowane gospodarczo" znacznie łatwiej rozumieją takie fakty, jako rzecz w pewnych warunkach nieuniknioną. Natomiast społeczeństwo polskie nie miało dotychczas możności przejścia przez okres wychowania gospodarczego. Nadmiernie przewrażliwione, ulega łatwo pesymizmowi, często niedostatecznie umotywowanemu...

Z tego też względu należy podkreślić doniosłe znaczenie prasy, która oddziaływując bezpośrednio na szerokie masy, ma możność przyczynienia się do wzmocnienia sił i odporności całego społeczeństwa.

Takie oto pobieżne myśli nasuwają się w związku z coraz częściej odzywającymi się głosami; że w Polsce już mija kulminacyjne natężenie kryzysu.

Zdzisław Grabski



Królowe piękności, przedstawicielki 29 narodów, które brały udział w Konkursie piękności

Pisarze w anegdocie

Aleksander Sewer Maciejowski był jednym z największych oryginałów grodu podwawelskiego. Na ulicy brał znienacka znajome panny pod ramię i kazał odprowadzać się lub porywał żony mężom w tymże samym celu. Zwykle o trzeciej popołudniu wychodził z domu, okrążał planty, zbierał bajeczki i obładowany dziesiątkami pikanterji wracał do siebie. O piątej schodzili się goście. Przeważnie zasiadali przy wydłużonym stole, ale byli i tacy, którzy w sąsiednim pokoju bezceremonjalnie zabierali się do pisania. Koło nowożytnej „Tafelrunde" wrzała rozmowa, kipiało życie. Dostawało się herbatę czystą z cukrem, nalewaną z kipiącego samowaru. Gospodarz przyzywał od czasu do czasu służącą Helenę, leciwą niewiastę o potężnym nosie. Jeden z gości wypił już pięć filiżanek herbaty, czerwienił się, jak ćwikła i wstydził się widocznie odmawiać. Gdy wreszcie Sewer zawołał: „Heleno!" wystąpił pot na czoło młodego człowieka i jął się tłómaczyć, że więcej nie może. Na to Maciejowski: „Byłbyś musiał żłopać bez końca, albowiem łyżkę zostawiałeś w filiżance. Tak jest w Anglji!". Odtąd odkładał gość łyżkę zaraz po wypiciu pierwszej filiżanki.

*

Długoletni profesor archeologji chrześcijańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Józef Łepkowski, niski, pękaty, stale ubrany w czarny anglez, którego poły wiatr podnosił, był dobrą duszą z minionych ramot i ramotek. Wykłady rozpoczynał zwykle introdukcją: „a teraz coś niecoś o kielichach Dąbrówki". Prelekcje przeplatał zazwyczaj jowjalnemi opowiastkami na temat własnych przeżyć. W Akwizgranie — jak zapewniał — nie chciano go wpuścić do słynnego skarbca. Jedynie kustosz zbioru, kanonik Bock, autor znakomitego dzieła o zabytkach z czasów Karolingów, mógł dać pozwolenie. Reverendus jednak opierał się. „Tylko potomkowie elektorów — wywodził — mają każdej chwili wstęp, a zwykli śmiertelni dwa razy do roku w dniach oznaczonych". Nasz profesor strzelił z palców i odparł: „W porządku jestem zstępnym elektorów, bo każdy szlachcic króla obierał"... Kanonik zadumał się, zabrał klucze i oprowadził gościa po podziemiach.

*

Michał Bałucki odwiedzał często zamieszkałą w Krakowie żonę Aleksandra Krywulta, świetnego znawcy malarstwa i właściciela warszawskiego salonu artystycznego. Zaledwie służąca drzwi otwarła, doskakiwały dwa małe czarne mieszańce, bliźniaczo podobne, zwane Wickiem i Wackiem na cześć komedji Zygmunta Przybylskiego. Psiaki ujadały gwałtownie i dobierały się do łydek szanownego autora „Białego murzyna". Gość opędzał się, podnosił z trudem to jedną, to drugą nogę, jako że był nadmiernie otyły. Aż wreszcie wykrzykiwał: „ja tu już byłem!"... Wtedy uspakajało się i zachodziła możność przejścia do saloniku.

*

Znakomity krytyk i dramaturg, Adam Bełcikowski, schodził się codziennie na rynku u Wenzla w Krakowie z Kazimierzem Bartoszewiczem, Augustem Sokołowskim i innymi, aby przy kuflu piwa pogwarzyć o szarościach życia. Punktualnie o jedenastej w nocy odmykał furtkę w ogrodzeniu przy ulicy Karmelickiej aby się dostać do kamieniczki w zagłębiu. Na pierwszem piętrze obok niego mieszkał student wydziału filozoficznego niezwykle dorodnej budowy. W czerwcową, gorącą noc księżycową rozebrał się do naga i zawiesił rękami u futryny drzwi, prowadzących na klatkę schodową. Bełcikowski miał zwyczaj wodzenia oczami po ziemi, to też dopiero na jakie trzy kroki spostrzegł niezwykłe zjawisko. Stanął z miejsca, jak wryty, a tymczasem wisielec umknął do siebie. Nazajutrz nie poszedł biedaczysko do bibljoteki jagiellońskiej, której był kustoszem. Gdy go odszukano i pytano o powód niedyspozycji rzekł z głębokiem przeświadczeniem: „ukazał mi się Św. Piotr. Drżę jeszcze ze strachu"...

*

Koło osoby Antoniego Langego nagromadziło się anegdot bez liku. Pieniądze nie trzymały się go nigdy. Pewnego dnia zainkasował honorarjum w „Kurjerze Warszawskim". Ledwie poczuł szeleszczące papierki, wsiadł do dwukonnego powozu, aby zażyć kawalerskiej jazdy. Po drodze wołał na znajomego zapraszając do przysiąścia się. „A dokąd droga?" — pyta nagabywany. Odpowiedź brzmiała: „Uważa pan, nie wiem"... Innym razem wybrał się do znajomych. Poprzednio wstąpił do fryzjera. Umieszczono go na ruchomem krześle. Mistrz od nożyc miał nieco wyrównać owłosienie. Zaczytany w gazecie odrywał od niej poeta oczy i śpiesząc się widocznie napominał: „uważa pan, króciej!" Jakież było w końcu jego zdziwienie na widok łysej, do skóry odsłoniętej głowy. Zrozpaczony poszedł na wizytę i przesiedział u znajomych przeszło dwa tygodnie do chwili lekkiego odrośnięcia fryzury.

E. Ł—ski.



„Miss Uniwersum" na rok 1930
P. Jolanta Pereiro (Miss Brazylja)

NOWY SYSTEM KOMUNIKACJI

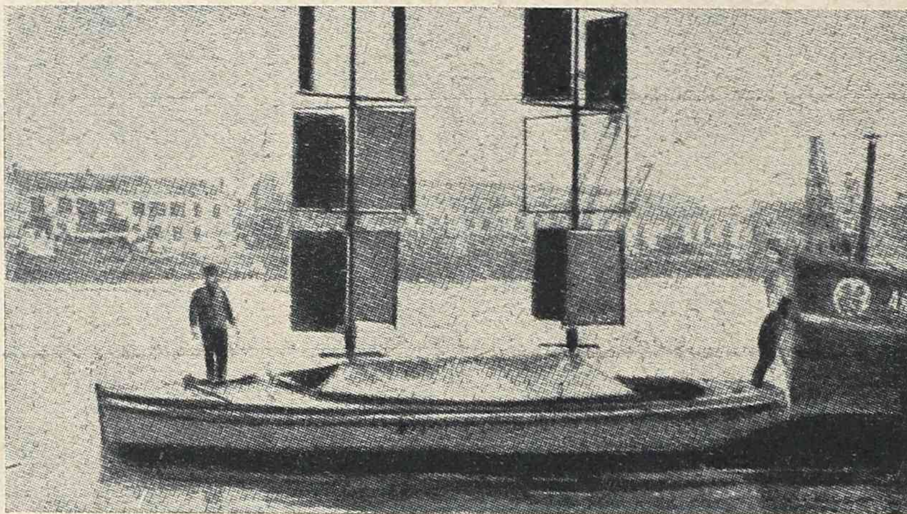
STATEK O OBROTOWYCH ŻAGLACH

Siły przyrody były od niepamiętnych czasów dla człowieka źródłem energji. Korzystał z prądów wodnych, z podmuchów wiatru jeszcze wówczas, kiedy technika stała na najniższym niemal poziomie. W miarę postępów techniki siły przyrody nietylko nie zatracają swej roli dostarczyciela energji, ale przeciwnie stają się coraz bogatszem źródłem tej energji. Pomysłowość nowoczesnego wynalazcy stara się wykorzystać i to, czego niegdyś ludzkość zużytkować nie umiała, więc np. różnice temperatur, ciepłotę słońca, elektryczność atmosferyczną i t. p. A równocześnie i te najdawniej znane formy sił przyrody znajdują coraz nowe zastosowanie, dzięki nowym, dowcipnie skonstruowanym urządzeniom i aparatom.

Gdy człowiek poraz pierwszy zastosował żagiel do poruszania łatwym sposobem swych łodzi na wodnej płaszczyźnie, mógł być niewątpliwie niesłychanie dumny ze swego wynalazku. Przez setki lat trzepotały żagle i na rybackich barkach i na olbrzymich korwetach, przepływających z jednego krańca świata na drugi. Doskonaliła się technika żeglugi i technika ożaglowania statków, zasada pozostawała niezmieniona. Dopiero wielki wynalazek Fultona stworzył konkurencję dla żagla. Statek parowy, a w najnowszych czasach statek motorowy począł wypierać żaglowiec z powierzchni mórz i oceanów.

I oto historja się powtarza. Gdy już konstrukcja statków motorowych dosięga, zdaje się, szczytów doskonałości, wynalazca powraca znowu do zaniedbanej czasowo idei żagla. Rozumie dobrze, jak bezcenną i jak niesłychanie tanią równocześnie jest siła wiatru. Byleby umieć pomysłowo ją wyzyskać, dostosować do dzisiejszych potrzeb i wymogów.

Takim nowym wynalazkiem w tej dziedzinie, zastosowanym jeszcze na bardzo niewielką skalę, znajdującym się jeszcze w stadjum prób i udoskonaleń, ale rokującym niezwykłe na przyszłość nadzieje, jest pomysł francuskiego inżyniera Thomasa skonstruowania statku o obrotowych żaglach. Wynalazca zmodernizował chylący się do upadku żagiel, zmieniając zasadniczo zasadę używania go. W jego konstrukcji żagiel nie porusza bezpośrednio statku, służy on tylko do wyzyskania siły wiatru i przetworzenia jej na energję elektryczną.

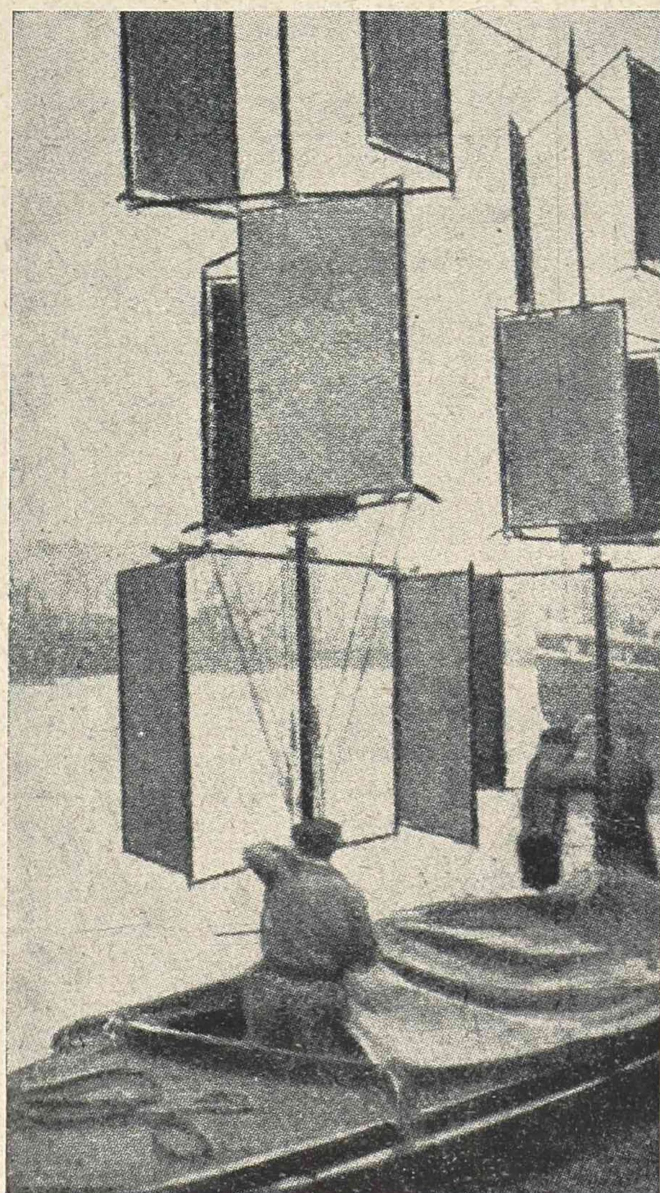


PRÓBNY STATEK INŻ. THOMASA

Oś obrotowa, 2 lub 4 płaszczyzny wirujące dokoła niej — oto prymitywne elementy, składające się na turbinę Thomasa. U podstawy pionowych osi obrotowych, umieszczonych na statku nakształt masztów, znajduje się przekładnia, przenosząca zdobytą siłę za pośrednictwem pasów do generatora elektrycznego. W ten sposób obracająca się przy pomocy wiatru oś wytwarza prąd elektryczny.

Pierwsze doświadczenia, celem praktycznego wypróbowania swego pomysłu, przedsięwziął inżynier Thomas na barce, długości 11 metrów, którą zaopatrzył dwoma masztami, wysokości 5 mtr., podtrzymującemi po 3 turbiny dwupłaszczyznowe. Próby dowiodły, że łódź tak skonstruowana może z łatwością poruszać się w każdym kierunku, z wiatrem i przeciw wiatrowi, z prądem i przeciw prądowi. Posuwanie się łodzi naprzód jest niezależne od kierunku wiatru, ponieważ zawsze obraca on turbinę w tym samym kierunku. Nawet w czasie bardzo silnego wichru i burzy szybkość obrotu nie przekracza pewnej ustalonej granicy.

Turbiny powietrzne, dostarczające bezpłatnej siły pędnej, pracują bez przerwy przy sprzyjających warunkach, t. zn. o ile tylko istnieją prądy powietrzne, zarówno podczas jazdy, jak i podczas postojów. Podczas jazdy wprawiają w ruch małą śrubę barki doświadczalnej, podczas postojów zdobyta siła elektryczna służy do oświetlania, ogrzewania, względnie oziębiania statku i jego części i t. p., lub uruchamia aparaturę mechaniczną (bloki ładunkowe, kotwiczne itp.), wreszcie zostaje gromadzona w akumulatorach, które umożliwiają poruszanie się statku w okresach bezwietrznych.



UKŁAD ŻAGLI OBROTOWYCH

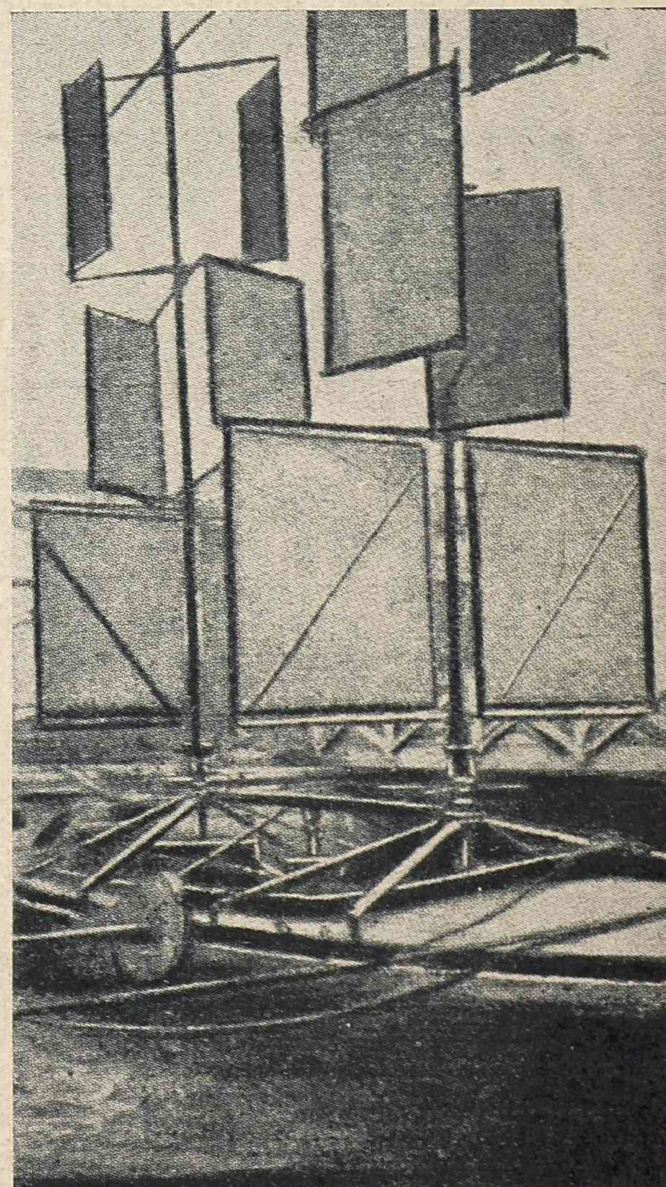
Czy jednak naprawdę można zdobyć w ten sposób godną uwagi ilość energji? Co mówią cyfry?

Wyliczenia inż. Thomasa, poparte już praktycznemi doświadczeniami, są bardzo charakterystyczne. Umiarkowany wiatr o sile 6 mtr/sek, dostarcza zgórą 1,5 KP przy 12 mtr. kwadratowych ogólnej powierzchni żagli obrotowych. W dwukrotnie silniejszym prądzie powietrznym uzyskuje się tą samą powierzchnię 6 K. P. W ten sposób przy średnim wietrze 20 mtr/sek., wiejącym bardzo często na morzu, jeden metr żagla dostarcza energję równą 1 K. P. Stąd prosty wniosek, że zwykły statek rybacki, posiadający 100 do 300 mtr. kw. powierzchni żagli obrotowych, mógłby rozporządzać podczas większej części swej drogi energją 100 do 300 K. P. zupełnie bezpłatnie.

Jak wspomniano wyżej, inż. Thomas przedsiębierze obecnie próby celem wydoskonalenia swego pomysłu. Na ogół próby te dają jak najpomyślniejsze wyniki, praktyczna wartość wynalazku jest już najzupełniej stwierdzona. Chodzi jeszcze tylko o najwłaściwsze zastosowanie i o ustalenie skali tego zastosowania. Trudno rzeczywiście przypuścić, aby tą metodą mogły być poruszane oceaniczne olbrzymy.

Ale na mniejszą skalę wynalazek odda niewątpliwie ludzkości wielkie usługi i przywróci honor żagla, tak pogardzonego w ostatnich czasach przez wszystkich, prócz biednych rybaków i bogatych sportowców. Można przewidywać, że po odpowiedniem udoskonaleniu pomysłu pojawi się na morzach cała flotylla żaglówek tego typu, jako ważne jednostki handlowe, a może też ujrzymy w przyszłości i jachty, które kusić się będą o zdobycie Atlantyku.

St. I.



PRZEKŁADNIA SIŁY



ortuny wybrańcy — książęta krwi — królowie przemysłu jeżdżą Lincolnami. Jednakże nietylko to jest przyczyną sławy Lincolna.

Pod jego arystokratyczną powłoką znajduje się niezwykły mechanizm — prawdziwe cudo nowoczesnej, precyzyjnej mechaniki —

dlatego też przedewszystkiem jest Lincoln tak wyróżniany przez możnych tego świata — bo jest ideałem doskonałosci...

UPOWAŻNIENI PRZEDSTAWICIELE LINCOLNA:

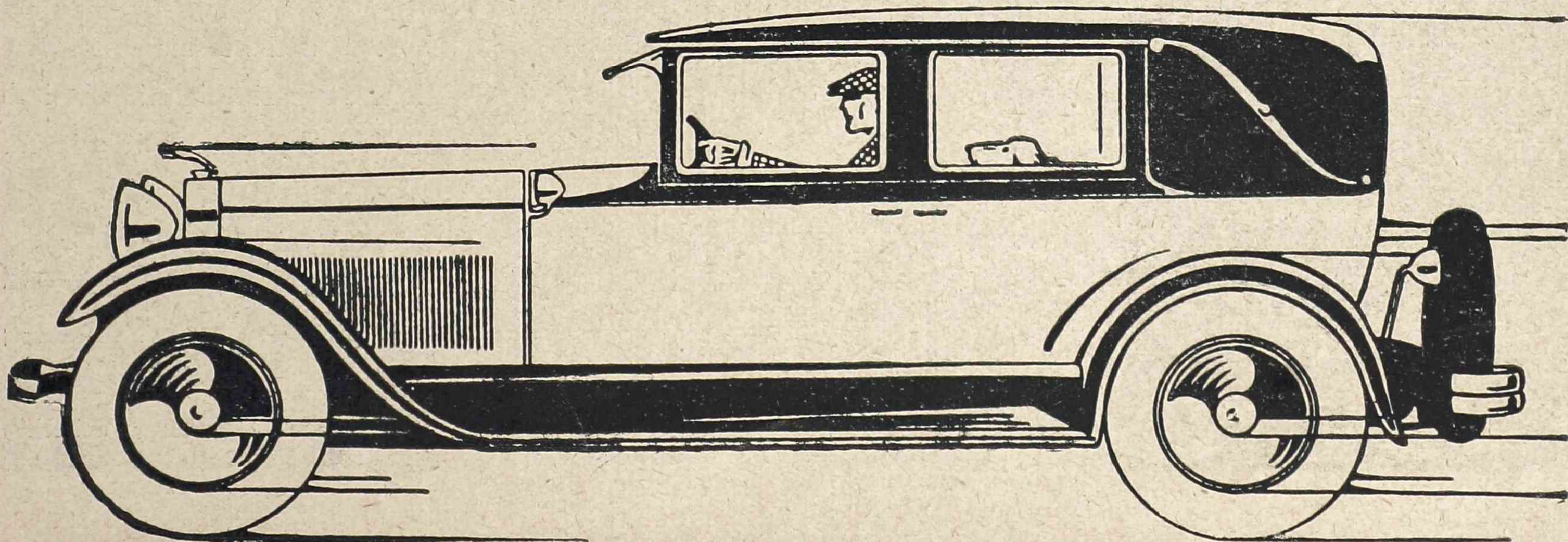
WARSZAWA:
Autotraktor, Sp. z ogr. odp.
B-cia S. i P. Bergman, Inż.
Motofors, Sp. z ogr. odp.

POZNAŃ: Józef Zagórski

LWÓW: Eshape Sp. z ogr. odp.

LINCOLN

LINCOLN Ford FORDSON



CO CZYTAĆ?

„OCZY MALAJKI", — „SOSENKA Z WYDM", — „PRZYMIERZE SERC"

Jim Poker jest polakiem. Zapewne wybrał sobie taki pseudonim, by czytelnik, zdemoralizowany lekturą autorów cudzoziemskich, zaufał więcej jego fantazjom podróżniczym, opowieściom egzotycznym. P. Poker z zawodu jest inżynierem. Jako oficer błękitnej armji gen. Hallera, brał udział w tragicznych zapasach światowej wojny. Z przeżyć tych czerpie on też obficie w swoich opowieściach. Dotychczas ukazały się trzy jego utwory: „Wyspa węży", „Strażnik Krakatoa", „Trójkolorowa bandera". Obecnie wydał on dziesięć opowieści morskich pt. „Oczy malajki".

Na czoło w tych opowiadaniach wysuwa się nowela pt. „John Mataczyński". Robi ona niewątpliwie wrażenie, a to dlatego, iż jest artystycznie prawdopodobna. P. Jim Poker natomiast lubi awanturniczość, niezwykłość, paradoksalność sytuacji za wszelką cenę, nawet za cenę realizmu beletrystycznego. Często też jego opowiadania przeradzają się w straszliwe bajki, snute z wyraźną chęcią przerażenia i oczarowania czytelnika. Podobno, istnieją zwolennicy tego rodzaju lektury. Na zwykłym człowieku robi to wrażenie miłej, konwencjonalnej zabawy towarzyskiej. Umówiono się tylko, by dla rozrywki wynajdować tematy i sytuacje potworne, egzotyczne.

Wojna dostarczyła beletrystom mnóstwo podobnych motywów. Wystarczy jednak, by ktoś szczerze, prosto powiedział, co przeżył w okopach. Wrażenie osiągnie potężne, o ile jest człowiekiem talentu, jak to wiemy, choćby z Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian" lub Strugowskiego „Klucza otchłani".

W twórczości p. Jima Pokera przekonywują też najwięcej te opowieści, które wiążą się z realizmem przeżyć. „Trzy dni na yachcie Andromeda", oraz czołowa nowela „Oczy Malajki" mają w sobie dużo interesujących pierwiastków, mogących wzruszyć i zaciekawić czytelnika. Literacko operują gawędziarstwem, jako środkiem beletrystycznym, dającym efekt prawdy i realności wydarzeń.

W ten ton gawędy w jeszcze większym stopniu uderza Jerzy Bandrowski w nowym zbiorze swoich opowiadań pt. „Sosenka z wydm". Są to również „opowieści morskie". Dotyczą jednak w całości naszego morza, a właściwie życia Kaszubów. Po ciekawej „Zolojce", udatnej powieści tegoż autora, wydawałoby się, że „Sosenka z wydm" może liczyć na powodzenie. P. Jerzy Bandrowski zna utrapienia, radości ubogich rybaków. Obserwował, informował się o ich doli i niedoli. Postanowił jednak wpleść w swoje opowiadania motywy fantastyczne, co niezawsze wyszło na dobre jego zamierzeniom. Jedenaście jego opowiastek należałoby może nazwać bajkami o poczciwej tendencji i wątłej inwencji artystycznej. Książka ta nie ma nic wspólnego z miłą jego opowieścią „Wieś mojej matki", cieszącą się, jak wiadomo, zasłużoną poczytnością.

W nowem wydaniu ukazały się feljetony — obrazki z życia legjonowego Juljusza Kaden-Bandrowskiego pt. „Przymierze serc". Książka ta nie straciła nic ze swojej świeżości. Zaleca się przytem starannością literacką, troską o plastykę słowa. Nawet gdy autor gawędzi, znać świadomą chęć wirtuozerji. Książka to również o walorach historycznych. Utrwalił w niej autor aktualne nastroje i uczucia tak braci leguńskiej, jak i społeczeństwa naszego w te czasy pełne krwi i nadziei.

E. C.

REKORDY PALACZÓW

Ameryka jest, jak wiadomo krajem wszelkich najbardziej warjackich rekordów.

500 godzin w powietrzu, miesiąc na gałęzi, 100 godzin tańczenia, 30 godzin gwizdania, rekordy żarłoczności, a ostatnio, jak czytamy, 150 godzin bezustannego... palenia papierosów.

Rekordzista - palacz przepłacił swoje szaleństwo ciężką chorobą — ostrego zatrucia organizmu nikotyną.

Palimy papierosy także setki godzin, ale na raty, z przerwami...

Aby namiętnym palaczom zapewnić zupełną bezkarność palenia nawet największych ilości papierosów (szkoda że o tem nie wiedział rekordzista amerykański...), Polski Monopol Tytoniowy wprowadził na rynek papierosy odnikotynizowane „Ergo" i „Egipskie".

Są to papierosy niemniej smaczne od zwykłych, choć zawierają znacznie mniejszy odsetek nikotyny.

O kilka groszy zwiększona cena tych papierosów — daje rękojmię ich nieszkodliwości.

Papierosy odnikotynizowane wszelkich gatunków można zamawiać w sklepach tytoniowych, począwszy od 500 sztuk.

Nauka języków obcych metodą Linguaphone

W sobotę dnia 11 b. m. o godz. 12½ w południe w sali Philipsa przy ul. Mazowieckiej 9 odbył się *pokaz prasowy* uczenia się języków obcych metodą Linguaphone.

Największą zaletą metody Linguaphone i zarazem jej najistotniejszą cechą jest udzielanie nauki obcego języka zapomocą płyty gramofonowej nagranej (czy też „namówionej" — jak kto woli) w każdym poszczególnym wypadku przez najbardziej zdolnych specjalistów — pedagogów danego kraju; są to zawsze ludzie posiadający wybitne zdolności fonetyczne i władający po mistrzowsku swoim rodzinnym językiem.

Dzięki temu każdy uczący się ma możność zdobyć jaknajlepszy akcent w studjowanym przezeń języku.

Podkreśleniu tej zalety przedewszystkiem poświęcone było przemówienie znanego polonisty Dr. K. Górskiego, docenta U. W.

Następnie przemawiał Dr. J. Szenker, dyr. Linguaphone Institute w Polsce, zaznaczając, że dotąd istniały lingwafoniczne kursy konwersacyjne w dwunastu językach (angielski, francuski, niemiecki, włoski, rosyjski, hiszpański, holenderski, połudn.-afrykański, eryjski, chiński, perski i esperanto), i że obecnie zostały opracowane kursy języka polskiego. Autorem ich jest Dr. Tytus Benni, profesor fonetyki na Uniwersytecie warsz.

Dla nagrania płyt z kursem polskim wyjechali w sobotę do Londynu: Dr. K. Górski, p. T. Bocheński speaker Polskiego Radja oraz p. K. Rychterówna, lektorka wymowy polskiej na Uniw. Warsz.

Na zakończenie demonstrowano na gramofonie wykłady języków angielskiego, francuskiego i niemieckiego.

Wykłady te wywarły na obecnych wrażenie pierwszorzędne, zachwycano się zwłaszcza dykcją i pięknym akcentem wykładających.

J. W.

CHROŃCIE DZIECI

oraz dorosłych przed chorobami gardła, anginą i grypą. Właśnie teraz w porze jesiennej, gdy temperatura i pogoda ulegają stałym zmianom, należy zwracać szczególnie baczną uwagę na zdrowie. Każdy, kto bierze udział w zebraniach, odwiedza teatry lub kina, podróżuje, lub wogóle przebywa w lokalu odwiedzanym jednocześnie przez wiele osób, jak się to dzieje zwłaszcza z dziećmi szkolnemi, powinien od czasu do czasu zażyć pastylkę Panflaviny. Pastylki te, wyróżniające się dobrym czekoladowym smakiem, należy powoli przeżuwać w ustach. Ochronią one nas niezawodnie przed niebezpieczeństwem zakażenia chorobami gardła i grypą. Pastylki Panflavin są do nabycia we wszystkich aptekach.

HUMOR ZAGRANICZNY

— Chodź, pocałuj mnie, Karolku, ale obetrzyj najpierw buzię.
— No, to lepiej potem, ciociu.

(Punch).

Odmładzanie naskórka twarzy

Z letnich wywczasów powracamy fizycznie pokrzepieni, lecz często — niestety — z nabytemi, pod wpływem słońca i zmian atmosferycznych, wadami cery. Pod złudną bowiem czerstwością twarzy kryje się zgrubienie naskórka, a zatem — objaw przejściowego zaniku młodocianej świeżości. Przeciw tej przypadłości rozporządzamy dziś specyficznemi środkami zapobiegawczemi, tudzież usuwającemi ją. Wybitnie zapobiegawczo działa u osób z prawidłową lub suchą cerą: krem sportowy „Ultrasol", z przepisu D-ra Lustra, tłusta zaś cera wymaga chronienia jej mleczkiem „Lityną". Zgrubiałą prawidłową cerę odnawia się matowym kremem „Mira", suchą i wiotczejącą zaś — ożywczym kremem „Oxa" D-ra Lustra. Powlec odpowiednim kremem twarz na 10 minut przed spłókiwaniem gorącą wodą, również przed naparzeniem nad parą, a po osuszeniu przypudrować pudrem egzotycznym D-ra Lustra.

Dr. Zenon B.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Urzędowy Rozkład jazdy kolei na sezon zimowy 1930/31. Wydaw. Polskiego Tow. Księgarni Kolejowych „Ruch" S. A. Warszawa, 1930.

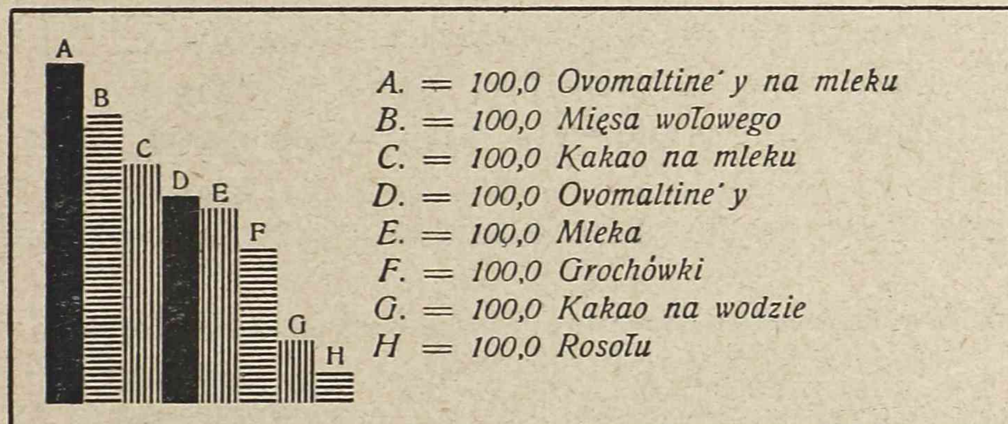
Pożywienie i praca!

Produkcja energji pożytecznej.

Wydajność kotła, opalanego nawet nadmiernie torfem, nigdy nie wyrówna wydajności kotła, ogrzewanego węglem o 8500 kalorjach Analogicznie dla człowieka pracującego wartość przedstawia jedynie jakość, a nie ilość pochłanianych pokarmów

Kocioł parowy zużyć musi dużą ilość ciepła, aby doprowadzić wodę do temperatury wrzenia, t. zn. do chwili, kiedy rozpoczyna się jego właściwa praca. Człowiek dla podtrzymania swego organizmu potrzebuje także dużej ilości pożywienia, i jedynie nadmiar pokarmu czyni go zdolnym do pracy.

Proces wybierania przez narządy trawienne składników pożywnych z pokarmu obfitego, lecz o małej wartości odżywczej, naraża organizm na pracę nieprodukcyjną i niepotrzebnie pochłaniającą energję.



Stąd wniosek:

Kto całkowicie trawi pochłonięty pokarm, nie traci energji na proces trawienia, i dlatego też winnismy czuwać nad tem, aby przyjmować jedynie pokarmy wielowartościowe i łatwostrawne. Nie zapominajmy o tem, iż

mięśnie w miarę używania i ćwiczenia wyrabiają się na wzór stali, nerwy zaś przeciwnie wyczerpują się.

Oto dlaczego stosowanie Ovomaltine'y jest dziś tak rozpowszechnione. Jednakże Ovomaltine nie powinna zastępować zwykłego pożywienia. Cena jej jest na to bezwzględnie za wysoka. Stosujmy ją wówczas, gdy zwykłe pokarmy nie wystarczają, a więc w 90 % chorób, przy pierwszych oznakach osłabienia, u dzieci, zbyt szybko rosnących, u młodych matek, przy wszelkich niedomaganiach, związanych z podeszłym wiekiem, a przedewszystkiem zawsze, ilekroć narażeni jesteśmy na duży wydatek energji.

Dlaczego Ovomaltine?

Wszystkie składniki odżywcze zasadniczych pokarmów: ekstraktu słodu, mleka, jaj i niewielkiej ilości kakao, otrzymane przy niskiej temperaturze w postaci suchej, jednorodnej i trwałej, całkowicie przez organizm przyswajane i o znakomitym smaku — oto czem jest Ovomaltine. Stanowiąc pokarm niezrównany pod względem jakości, sprzyja ona jednocześnie asymilacji węglowodanów (potrawy mączne, chleb etc.), a to dzięki zawartej w niej dużej ilości diastazy.

Zaświadczenie:

Uważam za mój miły obowiązek złożyć Sz. P. specjalne podziękowanie za znakomity preparat Ovomaltine, zbawiennego działania której doświadczyłem osobiście.

Jedynie dzięki stałemu stosowaniu Ovomaltine'y zdołałem przetrwać kilkumiesięczny okres forsownej pracy umysłowej (obliczanie, rysunki techniczne i konstrukcyjne).


Uczucie niechęci po południu jest wrogiem każdej intensywnej pracy.

Przeciętna godzin mej pracy wynosiła:

List. 1922:	od 8 godz. rano do $10^1/_2$ wiecz.	= 14-15 godz.
Grudz. 1922:	„ 8 „ „ „ $10^1/_2$ „	= 14-15 „
Stycz. 1923:	„ 8 „ „ „ 12 „	= 16 „
Luty 1923:	„ 8 „ „ „ 4 rano	= 19-20 „

W ciągu lutego mogłem sobie pozwolić jedynie na 100 godzin snu, z których 19 spędziłem na kanapie w biurze, czyli średnio 3 godz. 34 min. na dobę. Przyznaję, iż tylko duża wytrwałość i Ovomaltine pozwoliły mi dopiąc celu

Wzrost mój wynosi 1,60 m. i przed rozpoczęciem pracy ważyłem 60 kilo. Dziś, w trzy dni po jej ukończeniu, waga moja jest tażsama. Pozatem czuję się doskonale, nie odczuwam potrzeby dłuższego snu ponad 9 godzin na dobę i pracuję tak sprawnie, jakgdybym stale prowadził regularne życie. *Jest to niezbitym dowodem, iż Ovomaltine stanowi znakomity środek, podtrzymujący w równowadze siły pracownika umysłowego, szczególnie w okresach forsownej pracy.*

Z największą satysfakcją zalecać będę wszystkim preparat Sz. Pana, łącząc raz jeszcze najserdeczniejsze podziękowania, pozostaję

z szacunkiem

(—) *E. S.* technik budowy podziemnej.



OVOMALTINE

również i Ciebie wzmocni

OVOMALTINE'ę przyrządza się łatwo i bardzo szybko. Rozpuścić 2 łyżeczki do herbaty Ovomaltine'y w filiżance gorącego mleka (nie gotować) i ocukrzyć do smaku. Otrzymacie natychmiast wyborny napój odżywczy, nieoceniony także podczas wycieczek.

Dr. A. WANDER S. A., BERN (Szwajcarja)

Firma założona w 1865 r.

Do nabycia wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych. Na żądanie wysyłamy próby.



MŁODA NAUCZYCIELKA, utrzymująca swą pracą matkę, złożoną od kilku miesięcy ciężką chorobą, zwraca się z prośbą o pomoc, w celu nabycia aparatu ortopedycznego, w cenie zł. 400, który jej umożliwi powrót do pracy.

Łaskawe datki przyjmuje administracja „Świata"— dla nauczycielki, pod literami WS.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet L. Robowska. **CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6 — zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.—zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa